



XXVI
Ogólnopolski Konkurs Literacki

POEZJA I PROZA

2020

O LITERACKI LAUR ARBUZA

XXVI Ogólnopolski Konkurs Literacki

II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Maz.

Tomaszów Mazowiecki 2020

Projekt okładki: **Jolanta Karwasik** – nauczyciel II LO
Projekt logo: **Sławomir Wójcik** – absolwent II LO
Opracowanie tekstów: **Adrianna Jachimowska** – nauczyciel II LO
Skład, łamanie tekstu i druk: **AB DRUK**

Publikacja zawiera wszystkie wyróżnione prace
XXVI Ogólnopolskiego Konkursu „O Literacki Laur Arbuza”

© Copyright by *II Liceum Ogólnokształcące*
Tomaszów Mazowiecki 2020. Wydanie pierwsze

Patronem medialnym od początku istnienia konkursu jest Redakcja Tomaszowskiego Informatora Tygodniowego. Nagrodzone teksty drukowane są w świątecznym numerze gazety. Tegoroczna edycja konkursu odbywa się pod patronatem UNESCO, Starosty Powiatu Tomaszowskiego, Prezydenta Miasta Tomaszowa Mazowieckiego, Kina Helios, którzy ufundowali nagrody. Również Rada Rodziców przy II Liceum Ogólnokształcącym w Tomaszowie Mazowieckim zadbała o nagrody. Honorowy patronat nad konkursem objął Łódzki Kurator Oświaty.

Na konkurs wpłynęło 60 prac, w tym 36 w kategorii poezji i 24 pisane prozą. Uczestnicy to głównie uczniowie szkół ponadgimnazjalnych i ponadpodstawowych, ale również uczniowie szkół podstawowych i studenci.

Nadesłano prace z całej Polski, m.in. z: Bolesława, Chorzowa, Dębicy, Gruszewni, Katowic, Kłodawy, Łodzi, Łowicza, Mysłowic, Tomaszowa Mazowieckiego, Torunia, Warszawy, Włocławka.

Komisja konkursowa obradowała w składzie:

- Ewa Adamska – bibliotekoznawca, wieloletnia dyrektor Miejskiej Biblioteki Publicznej w Tomaszowie Mazowieckim;
- Sławomira Mrozowicz – teatrolog, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury w Kleszczowie;
- Urszula Stefaniak – nauczyciel polonista;
- Adrianna Jachimowska – nauczyciel polonista;
- Krzysztof Kleszcz – poeta, autor książek poetyckich: „E”, „Przeciaki z góry”, „Pański płaszcz”, nagrodzony w konkursie Poemat Czterech Kultur (2017), wyróżniony w konkursie Złoty Środek Poezji za debiut poetycki (2009).

Komisja po przeczytaniu prac, bardzo żywej i długiej dyskusji przyznała następujące nagrody i wyróżnienia:

W kategorii poezji:

- I miejsce – godło Las – Anna Maria Kobylińska, Uniwersytet Warszawski;
- II miejsce – godło Ramonka – Julia Stankiewicz, Szkoła Podstawowa nr 1 im. Aleksandra Kamińskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- III miejsce – godło Cyklamen – Monika Czajka, I Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Chełmońskiego w Łowiczu;

– wyróżnienia:

- godło Matematyk – Wojciech Niewiadomski, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- godło Księżycowa Pościata – Hanna Gwóźdź, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim;
- godło Popiel – Bartłomiej Jedliński, I Liceum Ogólnokształcące im. Jarosława Dąbrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim;

W kategorii prozy:

- I miejsce – godło Impresja – Aleksandra Maryniak, XXVI Liceum Ogólnokształcące im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego w Łodzi;
- II miejsce – godło Redivivatus – Julia Sałuda, I Liceum Ogólnokształcące im. Józefa Chełmońskiego w Łowiczu;
- III miejsce – godło Carmen – Aleksandra Gołdy, III Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Katowicach;
– wyróżnienia
- godło Esther Greenwood – Matylda Pędzińska, IV Liceum Ogólnokształcące im. Adama Mickiewicza w Warszawie,
- godło Chryzantema – Malwina Kujawska, I Liceum Ogólnokształcące im. Jarosława Dąbrowskiego w Tomaszowie Mazowieckim,
- godło Tawana – Katarzyna Ziółkowska, II Liceum Ogólnokształcące im. Stefana Żeromskiego w Tomaszowie Mazowieckim.

Wszystkim autorom prac
serdecznie dziękujemy

Poezja



Anna Maria Kobylińska
(godło: Las)
Uniwersytet Warszawski

Szuflady

Patrzę na nie przez przegrodę szyby.
W lekkiej, płynącej przestrzeni porannej
stoją masywne, ogromne szafki.
Z każdej z nich sterczą dziesiątki małych szufladek.
Widać dokładnie podział na poziomy, czyli półki,
można policzyć ich ilość, licząc rzędy okienek.

Małe, oddzielne światy,
przykryte prywatnością,
odkryte szukaniem więzi.

A w tych światach oni, tak jak my
w swoich. Tak przez szybki wyglądają,
trochę skuleni, schowani, ale wpatrzeni.

A nad najwyższą z półek
szara serwetka z papy.
Każdy, kto wdrapie się na nią
po drabinie,
zobaczy pejzaż wyżłobiony
tysiącami dróg.

I nad tym pejzażem
coś unosi się w powietrzu,

to wznoszenie do lotu
szarych, gołębich skrzydeł codzienności.

Moje zajęcia

Lubię wędrować po dobrej drodze, gdy fortuna słońcem się toczy.
Rozgryzam wtedy twarde orzechy, karmię ziarnami niezłapanie
w żadną garść wróble i gołębie, które zlatują z dachów.

Nad stawem słucham razem z łąbędziami śpiewu słowików.
Pytam o coś przepływające ryby albo przyglądające się im dzieci.
Na bezrybiu nigdy nie szukam raków. Za to często kąpię się w chłodnej
wodzie.

Potem wędruję dalej, z przydrożnych mrowisk wyjmuję niepotrzebnie
wsadzone kije. Głaszczę przechadzające się dostojnie koty. Niczego nie
drę, tylko w znalezionych workach łatam dzielnie dziury. A myszy harcują
wśród giętkich cieni kocich ogonów.

Chętnie odbywam przejażdżki na zaprzężonym w pstre konie wozie, któ-
ry ma cztery drewniane koła. Chwałę wtedy dzień, choć dopiero poranek
i w zamyśleniu spoglądam na małe chmury w oddali, z których na
pewno pada intensywny deszcz.

Na skrzypiącym wozie znajduję ścięte kłosa i tworzę z zapalem słomiane rzeźby. Jadę ostrożnie, unikam niedźwiedzi, ich szybkich, krępych ciał i porośniętej gęstą sierścią skóry. Cieszę się, gdy napotykam wzrokiem białe, szare i całkiem czarne owce.

Potem wracam tam, gdzie najlepiej. Pod spadzisty dach, między cztery ściany, które patrzą uważnymi oczami okien i słuchają każdego dźwięku. Z daleka już pachną darmowe kołaczki.

Od razu nabieram apetytu, ale są tak słodkie, że już po chili chęć do jedzenia maleje. Wychodzę więc przed dom. Szybko odganiem białe kruki i energicznie porywam się z motyką na własny ogródek.

Cicho

Ziemia pachnie jak co dzień,
jak pamięć – niepamięć
i trwanie.

Unosi się wilgoć gnijących liści,
błyska zieleń żdźbeł trawy
wciąż świeżych.

Zatarte pismo odcisków
stóp dawnych mieszkańców wsi,
zapiski całkiem siwe wiatr porwał.

Cicho.
Wyłazi zza niw chmura mgły
i oblepia ślimaczym śluzem ugory.

Które kiedyś oni orali,
gdzie swoje chwile siali,
jak krople dzisiejszej głuszy.

Śnią przesiąknięte liście
na grudach czarnej ziemi
kostrzewa kołysze się lekko jak płomień.

Szarością dnia ziemia oddycha,
obraca się wskazówka
przesłoniętego blado słońca.

Opadłe liście szeleszczą,
cienie naziemne drżą,
przybierają na chwilę kształty ludzi...



**Julia Stankiewicz
(godło: Ramonka)
Szkoła Podstawowa nr 1
im. Aleksandra Kamińskiego
w Tomaszowie Mazowieckim**

W drodze

Już pełne walizki spakowane przeszłymi uśmiechami.
Między sukienki włożona beztroska dzieciństwa.
Pierwsza łąza okryta matczyną czułością
rozpycha się na dnie
pewna, że urośnie.
Kapelusz z krzywym rondem,
miś z naderwanym od nadmiaru miłości uszkiem
walczą o swoje miejsce z lękiem przed małą myszką.
Tysiące wzruszeń, radości i dorodnego śmiechu
przycupnęły, by rosnąć z każdym nowym świtem.
Na wierzchu przysiada nadzieja
przystrojona w bursztynowe naszyjniki i pierścionki.
Rozpycha się mocno
i nie ma zamiaru odpocząć.
Z trudem domykam bagaż moich doświadczeń.
Dbam, by nic nie zagubić, nic nie pominąć.
Roześmiana, szczęśliwa
ruszam w daleką podróż – w kolejny dzień mojego życia.

Miłość

Słyszałeś piosenkę wiele razy i podobała Ci się ta muzyka,
ale potem znów ją słyszysz i myślisz sobie:

„To najlepsza melodia, jaka dotknęła mojej duszy”.

I już wiesz, że istnieje, ale z jakiegoś powodu tak naprawdę uderza Cię to pierwszy raz.

Jesteś podekscytowany. Chcesz to usłyszeć ponownie, więc puszczasz to kolejny raz,

a potem na długo zapętlasz to w swojej głowie.

Zakochujesz się w rytmie,

zakochujesz się w tekstach.

Nie masz tego dość.

Jest stale w twoim sercu i wszystko, czego pragniesz, to ta piosenka.

Tak to jest zakochać się!

Dawno znana osoba, ale pewnego dnia coś w niej zaskakuje.

Poruszone struny zaczynają pięknie grać.

Zakochujesz się w oczach.

Zakochujesz się w uśmiechu.

Miłość jak muzyka przenika każdą komórkę ciała.

Wiosną 2020

Skępowani sznurem wzajemnej nieufności
zakryte mamy usta pragnące oddechu.
Dłoń mija rękę szczęśliwą z powitania,
nie poczuje ciepła ani chłodu.
Bliskość raptem zrównana z dystansem,
gdy uciekamy jedni przed drugimi.
Słowa umierają na zdziwionych wargach,
przeżalone serce myli dobry rytm.
Jesteśmy jak kukielki na scenie ziemskiego teatru.
Niewiedzący, niewidzący
z wielkim znakiem zapytania w rozszerzonych źrenicach
My dzisiejsi ludzie!
Bezwolni poddani na dworze niewidzialnego władcy
kroczącego z purpurową CORONĄ na głowie.

III miejsce (poezja)



Monika Czajka
(godło: Cyklamen)
I Liceum Ogólnokształcące
im. Józefa Chełmońskiego
w Łowiczu

Deszcz

inaczej się żyje gdy pada deszcz
bardziej niedbale
niechlujnie
przy zamkniętych oknach
pod dachami parasoli
jakby się nie żyło

wolniejszymi krokami
cichszymi zdaniem
przejażdżką metrem
żyje się
nie żyjąc

Bajki, niebajki i nowoczesne mieszkania

cichy szept pianina
kurz strzepnięty z klawiszy
kroki zamarłe w krainie snów
bal skończył się tak szybko jak się zaczął

nie było ani zamku ani księcia
dobrym zakończeniem
mogę się co najwyżej zadławić

nie-płacz
tylko kilka kropel na policzkach
kto by się spodziewał
że tusz może się rozmazać

nie-krzyk
nie chcę przecież obudzić sąsiadów
choć już stukaniem obcasów
mogłam dać im się we znaki

jednak bajki nie są dla dorosłych
jedynie ośmiogodzinne prace i poważne zawody
o walcu to sobie można pomarzyć
w przerwie na fajkę między godzinami



wyróżnienie (poezja)

Wojciech Niewiadomski
(godło: Matematyk)
II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

Hamlet samobójca

Skakać
czy nie
skakać
oto
jest
pytanie jeśli skoczę
pewnie poplamie
nowiutkie ubranie
spotkam lubą Ofelię
która na mnie czeka
życie mnie dusi
czy skoczyć teraz
czy może najpierw
spytam mamusi
jedną tak
nogą nie
jestem nie
w grobie tak
nie mogę znieść mego stryja
ten bezecnik zabrał mi danie
nie wspominając o napojach
zawiśnie jego przekłeta szyja
właśnie miałem się zemścić
nie skaczę jeszcze chwila
czy zakręciłem kran w kuchni
cóż za traf bije dwunasta
postanowione skaczę i basta
nie zostawię ukochanej matki
może jej najpierw list wyślę
zanim skoczę jeszcze pomyślę

Jesienna miłość

Rozlały się na leśnych polanach wrzosowiska.
Na które słońce przybladłe promienie ciska.

Sosna nieśmiało swym wychudłym pniem kołysze –
Szum wydając nieznacznym, który ledwo słyszę.

Podmuchy chłodne krążą między obłokami.
Opadają i skaczą, tańcząc między nami.

Rozdzielił nasze splecione miłością dłonie –
Chłód jesieni, który z rześkim pędem wionie.

Przytul się Najmilsza, lecz nie okrywaj głowy.
Wystaw twarz ku słońcu, złap promyk słońca płowy.

Pozwól mi ogrzać się twym gorącym oddechem.
Skosztować smaku ust – upić się twym uśmiechem.

Złączmy się w miłości. Ach! Ten chłód nieznośny...
Nie ma rady Kochana. Trzeba czekać wiosny.



wyróżnienie (poezja)

Hanna Gwóźdź
(godło: Księżycowa Poświata)
II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

Narodziny słów

Przyszły na świat
Jeszcze przed jego Początkiem
Przed czasem i przestrzenią
Wypełzły z ciepłego łona matki
Zagubiły się w zimnym, szarym świecie

Skradzione przez ludzi
Ograbione z wszelkiej prawdy
Stały się narzędziem dla ubogich umysłów
Do tworzenia fałszywych wizji wszechrzeczy
Słowa...

Gdyby zniknęła ludzka ciekawość
Gdyby Bóg pokazał, że naprawdę istnieje
Gdyby ludzie potrafili prawdziwie żyć
A miłość zostałaby zdefiniowana
Słowa nie byłyby już potrzebne

Jak czysta byłaby miłość
Gdyby słowa umarły
Świat mógłby narodzić się z ciepłego łona matki
Umysł sięgałby granic wszechświata
A sztuka byłaby prawdziwym wyzwoleniem duszy

Jedynym problemem ludzkości
Stałby się wówczas
Brak Początku...



wyróżnienie (poezja)

Bartłomiej Jedliński
(godło: Popiel)
I Liceum Ogólnokształcące
im. Jarosława Dąbrowskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

kilka wspomnień

nocny seans
bezsensownych wspomnień
popcorn przesiąknięty łzami
wymiętolone serce
jutro je rozprasuję
bo z pogiętym wyjść nie wypada
zawsze mam ze sobą
kilka wspomnień
o których lepiej zapomnieć
bezpieczny dystans
zachowawcze oddalenie
wkładam palce w krtań
wymiotuję bezsensem
lubię wspominać
to co mnie boli
masochizm potwierdzony
wtedy przynajmniej
uczę się na błędach
powtórka przed klasówką
z relacji międzyludzkich
ocena – niedostateczny
jutro poprawa

Proza



I miejsce (proza)

Aleksandra Maryniak
(godło: Impresja)
XXVI Liceum Ogólnokształcące
im. Krzysztofa Kamila Baczyńskiego
w Łodzi

Przy kości

Czuję zimną podłogę w łazience. Światło nad lustrem mruga niewyraźnie jakby jeszcze było zaspane, otulone obłoczkami ciepłego snu, który miałam chęć zakłócić. Moja klatka piersiowa porusza się szybko to w górę, to w dół, znak mojego wysiłku, wiecznie za małego wysiłku. Do kiedy serce bije, nie ma usprawiedliwienia dla nieróbstwa, leżenia, siedzenia. Muszę być w ciągłym ruchu, a im więcej się ruszam, im więcej kalorii spalę, tym poprzeczka staje się wyższa. Tylko pozornie nieosiągalna.

My ludzie przywiązujemy się do przedmiotów, gromadzimy je, by w trudnych chwilach jesiennej szarówki, zimowej ciemności rozjaśniły głowę. Zdjęcia z rodziną, na których każdy nosi prawdziwy uśmiech, naszyjniki z wakacyjnych podróży jeszcze pachnące słońcem i solą morską, nasz ulubiony pluszowy miś, zbyt cenny, by po prostu się go pozbyć. Jakkolwiek istotne dla nas są te rzeczy, jednak nie definiują nas, nie stanowią o naszej wartości. Stoję jednak przed urządzeniem znanym już od starożytności, krępujący chłód wagi, gdy na niej stoję. Czy dzisiaj okażę się godna, by zjeść? Czy moje osiągnięcia dzisiaj będą warte wspomnienia, czy wyrzucę je w ką, by razem z marzeniami stały się jednym z ciemnością i tylko parą jasno świecących oczu będę patrzeć przez góry kurzu? Bez względu na to, co pokaże moja domowa Pytia i tak nie będę godna.

Podnoszę wzrok na lustro i opieram ręce na wilgotnej umywalce. Przyglądam się nagiemu ciału. Wystające żebra i obojczyki. Stoję twarzą w twarz z czymś, co powinno być odbiciem. Co tak naprawdę widzę? Kości biodrowe niczym dwa kolce odstają, przywołują słowa mamy „aż smutno na ciebie patrzeć”. Biorę w ręce skórę z brzucha, a niebieskoszarą oczy wilgotniejszą od piekących łez. Nadal jestem za gruba. Bezszelest-

nie kładę się na uprzednio przygotowanym ręczniku, tak aby nie zbudzić chrapiących w salonie rodziców. Mieliśmy w łazience dywanik, ale ojciec naiwnie usunął go, licząc, że powstrzyma mnie to przed robieniem brzusków i krzywieniem sobie kręgosłupa. Nic bardziej mylnego! Jedyną rzeczą, która może powstrzymać anorektyczkę jest ona sama. Pod plecami twardość kafelków. Nie ma czasu do stracenia. Przyjmuję doskonale znaną pozycję i podnoszę górną część ciała, na chwilę zapominając, że należy ono do mnie. Zamykam oczy, by nie patrzeć na grube uda i falujące pod skórą mięśnie, które zamieniają się w tłuszcz. Na lewym udzie wydrapałam sobie napis definiujący mnie na całe życie „FAT”. Nawet nie wiem, kiedy to zrobiłam. Rany wyglądają na świeże, więc musiało to być wczoraj po obiedzie, gdy dowiedziałam się, że mięso w mojej potrawie było smażone nie na jednej, lecz na półtorej łyżeczki oliwy.

Ból w mięśniach uwalnia spętaną głowę mogącą nareszcie odetchnąć. Świat dookoła nie istnieje, a jedynym rytmem jest ustawiczne uderzanie kości o ziemię i liczenie, chociaż nie wiem, po co liczę i odmierzam, zatrzymam się dopiero, gdy nie będę mogła wytrzymać. Jeszcze 20... jeszcze 30... jeszcze 100...

Łóżko lekko skrzywnęło, poniosło się plaskanie bosych stóp po panelach. Nadchodzi. Szybko podrywam się zła na niemożliwość dokończenia serii i pośpiesznie odwieszam ręcznik na drewniany haczyk. Staję przed lustrem i udaję, że wyciskam pryszczę. Drzwi otwierają się gwałtownie. Zaspana mama, wyraźnie zdziwiona tym widokiem, rzuca tylko uwagę, że będę miała czerwone czoło, po czym odchodzi do sypialni pograżonej w ciszy czasem tylko przerywanej przez pochrapywanie, drzwi zostawia otwarte. Nieco jaśniejsze światło kładzie się na podłodze przedpokoju – nadszedł nowy dzień.

Zostałam mianowana domowym baristą. Zapach kawy roztopia lód mojego serca. Otwieranie nowej puszki maluje pomieszczenie i roztopia aurę relaksu i rozpieszczenia. Cierpliwie odmierzam trzy łyżeczki i wysypuję je do kolby. Wygładzam wierzchem i wsadzam do ekspresu. Zatrzymuję się i wącham. Wyobrażam sobie pola kawy gdzieś w Afryce. Widzę czarne kobiety noszące kosze na głowach tylko po to, by każdego ranka zrobić mi przyjemność. Skrzydła podcina mi świadomość niebycia wartą, by wykorzystać owoc ich ciężkiej pracy. Nie jestem wystarczająco wdzięczna za

wszystko, co mam. Postanawiam w akcie wdzięczności sprezentować ten skarb rodzicom. „Jesteś okropną córką” – szepnęła Ona. Moja Pani. 0,5 kalorii na 100 ml! Nie stać mnie na takie szaleństwo. Wzrokiem chłonę dwa strumienie brązowej ambrozji i obserwuję, jak powoli wypełnia filiżanki do trzech czwartych wysokości. Resztę uzupełniam tłustym mlekiem. Sama kiedyś uwielbiałam cappuccino. Na samo słowo usta napęcznieją się śliną, a w mózgu wydzielają się hormony szczęścia powodujące ochotę, kusząc nas zachęcającą propozycją uczucia błogości i cudowności. Potrząsam jednak głową. Jestem silniejsza niż to! Moja moc kryje się w odmianiu, poza tym wcale nie mam na to ochoty. Wstawiam zatem wodę na herbatę. Jeszcze raz dla pewności sprawdzam na opakowaniu, czy nie ma kalorii. Zanoszę rodzicom napój bogów. Widzę, jak cieniutkie ręce zakończone długimi, chudymi palcami oplatają naczynia. W myślach karczę się za powtórne pragnienie napicia się chociażby łyka. Moja miłość do kawy, tęsknota nie tyle za smakiem, co wspomnieniem smaku. Nie pamiętam, kiedy cappuccino zastąpiłam espresso z wodą, czyli americaną, a ją samym zapachem drobno zmielonych ziaren. Jediną moją styczeńnością z kawą jest moment, w którym robię ją dla kogoś i zawsze pragnę, by chwila ta trwała jak najdłużej. W kuchni pośpiesznie wyciągam najmniejszą kromkę ze starej angelki mimo tego, że nowa leży nienapoczęta w szafce. Z lodówki wyciągam plasterek wędliny, śniadanie jest gotowe. Zjadam zanim mama zdąży wejść. W telefonie zapisuję 90 kcal za chleb i 50 za wędlinę. Wiem, że nie ma to pokrycia w rzeczywistości, ale wolę mieć parasol bezpieczeństwa na wypadek, gdybym źle policzyła któryś z posiłków, co jest mało prawdopodobne. Jeszcze niedawno wybieranie ubrania było moją ulubioną, zaraz po picciu kawy, poranną czynnością. Szafa pękająca w szwach od ubrań ledwo dała się otworzyć. Czułam się jak stylistka, układając na łóżku najróżniejsze kombinacje, po czym z trudem wybierałam tę najbardziej odpowiadającą mojemu nastrojowi. Niegdyś dominacja różu i krzykliwych barw czyniła mnie wyróżniającą się w tłumie. Teraz zadowolam się odcieniami czerni. Bluzka mająca przylegać do ciała lekko zwisa na ramionach, a dekolt, rażąco niewypełniony, formuje się w pokaźną dziurę, odsłaniając klatkę piersiową. Dużo za duże spodnie przepasam paskiem. Wzdycham głośno, gdy nie jestem w stanie dopiąć się w najdalszą dziurkę. Nadal jestem za gruba. Przechodząc obok swojego odbicia mimowolnie kątem oka

utwierdzam się w przekonaniu o własnej brzydocie. Łapię urywki siebie, które wciąż chudną, by znów nabrać masy i objętości wraz ze zmianą perspektywy. Nie rozumiem, jak to się dzieje. Przed posiłkiem podziwiam wystające kości, które z każdym gryzem skracają się i poszerzają. To coś na podobieństwo szaleństwa. W stałości rzeczywistości jestem zmienną, nietrwałością. Ulegam wpływom, podszeptom choroby. „Gruba świnia” – coś rzuca hasło w próżnię głowy skupionej tylko na tych dwóch słowach. Pozwalam im wybrzmieć, wryć się w pamięć pośród mroku spowijającego umysł, niewypowiedzianego wstydu. Nie chcę wychodzić z domu, a jednocześnie nie chcę zostać. Staję przed drzwiami wyjściowymi, aby znowu napełnić płuca głębokim oddechem.

– Wychodzisz? Jadłaś śniadanie? – pyta zaspany głos z sypialni

– Tak – odpowiadam cicho, czując ukłucie zażenowania. Jestem taka gruba, a jednak zjadłam. Nie zasługuję na pożywienie, miłość, szacunek. Karmię się kłamstwami, w które zaczynam wierzyć. Moje myśli oddalone są ode mnie tak, jakby przychodziły z zewnątrz, spoza mnie, a jednocześnie głos jest mną, jest moją integralną częścią. Głucho brzmia, roznosząc się echem. Nie myślę o szkole, o znajomych... i tak mnie pewnie nie lubią. Chce mi się płakać, gdy tylko słyszę słowa „Jesteś beznadziejna”... „Jesteś beznadziejna”... „Jesteś beznadziejna” i nie wiem już, czy to podszept choroby, czy nauczyłam się tak myśleć. Kiedyś potrafiłam rozróżnić, co myślę ja, a co próbuje mi wmówić choroba, lecz teraz symbioza zmieniła się w wykorzystanie i moja Pani jest rozpuszczona w materii, jej myśli są moimi myślami, jej słowa kierowane są do mnie. Przecież chce, żebym była lepsza, Ona chce mnie usprawnić, naprawić. Myślę i powtarzam potwierdzająco, lekko kiwając głową: „Jestem beznadziejna”... „Jestem beznadziejna”...

„Anorektyczki nie jedzą” – wiara skutecznie zamykająca drogę do zdrowia. Jesteś anorektyczką, więc nie wolno ci wziąć nic do ust. Ludzie mają nikłe pojęcie o anoreksji, nie wolno ich za to winić, gdyż choroba opiera się na absurdach i jest trudna do pojęcia. Myślą o anorektyczkach jak o osobach czujących wyższość nad innymi. Oskarżane o niespotykaną dumę płynącą z bycia silniejszym niż inni śmiertelnicy decydujący się na jedzenie. Brak wiary w siebie i nienawiść do własnej osoby jest rekompensowana poczuciem wyższości nad podstawowym instynktem człowieka,

potrzeby sięgającej do naszych korzeni, budzącej gadzi mózg. Jest to najstarsza ewolucyjnie część mózgu odpowiedzialna za podstawowe funkcje życiowe i odruchowe reakcje związane z unikaniem niebezpieczeństwa. Odpowiada również za tak znenawidzone uczucie głodu, które usilnie tłumimy gumą lub wodą. To nieudana próba samodoskonalenia płynąca z usilnej potrzeby zbudowania własnej wartości. Jest efektem nieumiejętności zdobycia jej w inny sposób niż poprzez jedzenie, a raczej ograniczanie go. Jest to mocno związane z antyczną koncepcją harmonii rozwoju ciała i umysłu. Przekonanie o braku znaczenia i zupełnej porażce w sferze umysłu, którego potęga jest deprecjonowana i wyrzucana na margines. Najpierw przez pewność co do własnej niekompetencji, by spełniać własne lub cudze, wysokie ambicje. Później mózg ma zaburzone funkcje poznawcze przez brak pożywienia, co tylko potęguje poczucie beznadziei i nasila depresję. Jednakże bez względu na to, czy odniesiemy nad sobą zwycięstwo, odmawiając sobie przyjemności, czy nie, anorektyczka jest zawsze na przegranej pozycji. Nasza Pani sprawuje nad nami całkowicie despotyczną władzę. Nie znosi sprzeciwu i nie akceptuje pomyłek i błędów. Sama chęć zjedzenia czegokolwiek jest powodem do wstydu i restrykcji. Chory musi uświadomić sobie, że nigdy nie wygra niczego, bo jest to pogoń za własnym ogonem. Niekończący się wyścig bez mety, bez nagród, w ciemności i bólu. Głównym uczuciem w anoreksji jest nienawiść. Najpierw do samej siebie, potem do masła, czekolady, awokado, kuchni, ludzi, świata. Aby zagłuszyć prawdziwy, wydający się nie do rozwiązania problem. Nie umiem dokładnie powiedzieć, kiedy kształtuje się w tobie myśl, że tylko będąc chuda, zasłużysz wreszcie na godne miejsce między ludźmi, których podziwiasz. Ziarno takiej idei w swojej przebiegłości zakorzenia się w twoim mózgu niepostrzeżenie i po cichu, tak że zdaje ci się jakby było tam od zawsze. Jest to ziarno roztaczające woń zapomnienia. Kładzie się cieniem na wszystkie szczęśliwe chwile przed nadejściem choroby, pacyfikuje cię indoktrynacją, a ty jako nieświadoma owieczka łądujesz w jej szponach i mija tylko chwila, aż tracisz własną tożsamość. Nie jesteś już dawną sobą i nawet gdy starasz się wrócić lub udawać siebie, nie jesteś w stanie przywołać w pamięci czegokolwiek, co kiedyś miało twój kształt, twój głos, twój twarz...

Gdy na początku naszego życia poznajemy nowych ludzi i zawieramy pierwsze przyjaźnie, zawsze obecny jest moment wywiadu. Coś, co zostaje rodzicom aż do śmierci. Odpowiadamy cierpliwie na wszystkie pytania dotyczące naszej nowej koleżanki, kolegi, chłopaka... Gdzie mieszka? Kim są jego rodzice? Czy dobrze się uczy? Co lubi robić? Na podstawie zaledwie paru zdań w magiczny sposób są w stanie oszacować, zaskakująco trafnie, czy ta osoba warta jest naszego czasu i czy nie czeka nas z jej powodu zawód. Mamo, poznaj zatem moją nową przyjaciółkę. Nazywa się Anoreksja, ale ja i inne dziewczyny nazywamy ją Ana... Ona skrzywdzi cię na pewno. Jest fałszywą przyjaciółką, która nie daje się łatwo zdemaskować, żyje w ukryciu, by zapędzić cię w syndrom sztokholmski. Kochasz swojego oprawcę, nie zdając sobie sprawy z własnego uciemnienia... Diabeł ubiera się u Prady. Ona nosi się dostojnie, elegancko, jest wszystkim, czym kiedykolwiek chciałaś być i powoli uświadamiasz sobie, że nie będziesz. Jesteś jej całkowitym przeciwieństwem. Stanowi ucieleśnienie twoich ideałów, obiecując zachęcająco, że tylko dzięki niej nareszcie będziesz godna uwagi. Jestem mądra po szkodzie. Teraz już, mając za sobą arsenał wiedzy i doświadczeń, nie połknęłabym haczyka dla ambitnych ludzi, którzy tylko chcą, by ktoś był z nich dumny. Jedna obietnica i już cię ma. Wtedy kończą się słodkie słówka, babcia zdejmuje okulary, odsłaniając pysk wilka, a ty nie chcesz uciekać, bo już nie pamiętasz, jak było, zanim przestałaś smarować kanapki masłem. Obrzuca cię obelgami, podkreślać każdą z twoich licznych wad, a ty nie potrafisz odmówić jej racji. Przecież zna cię tak dobrze. To sprytna manipulatorka o wielu twarzach, każdej w prezencie dla chorej dziewczyny, by najskuteczniej wedrzeć się do mózgu i wgrać spersonalizowanego wirusa. Stosuje makiaweliczną technikę lisa i lwa. To nie jest tylko powierzchowna chęć bycia chudym, to choroba relacji. W koncepcji świata Platona ciało właśnie jest więzieniem dla duszy. Tu jest podobnie, z tą tylko różnicą, że to nie rzeczy materialne, a jedzenie jest czarnym rumakiem. Życie staje się szampowym, pozbawionym smaku filmem, zbiorem bezsensownych klatek. Jesteś jedynym aktorem w tym godnym pożałowania przedstawieniu, a nawet już nie identyfikujesz się z sobą, jesteś tylko marionetką niemogącą spojrzeć w stronę gwiazd, by dostrzec sznurki. Fabuła nie jest jasna, a obiektyw pobrudzony niezdarłym i otumanionym palcem głodu, niedożywienia, stanu satysfakcjonują-

cego i zawstydzającego zarazem. Nie zdajesz sobie sprawy, że wbiegając po schodach w szkole z ciężkim plecakiem, skupiasz na sobie wzrok wszystkich, a droga do upragnionego zejścia ze sceny, eksodosu, kieruje światła reflektorów. Sprzedajesz godność, robiąc przysiady w toalecie. Kłamiesz. Władca nie musi być uczciwy. We wrogim świecie, gdzie każdy usiłuje zrobić z ciebie grubasa, nie oplaca się być dobrym, grać uczciwie i przestrzegać reguł. Przypomina tym nieco szaleństwo, albo jest jego mniej lub bardziej zaawansowanym stadium, zwłaszcza gdy gromadzą się w tobie emocje i nie możesz sobie z nimi poradzić. Gdy dochodzi do wysokiego napięcia i już nie możesz wytrzymać, należy przecierpieć, poczekać jeszcze chwilę. Emocje, kurz opadną, a rany zostaną.

Wbrew pozorom bycie chorą nie jest tak trudne, jak się większości wydaje. Musisz stosować się do zaledwie kilku reguł, których liczba wzrasta w miarę nieświadomego wchodzenia w ruchomy piasek. Nigdy nie jedz więcej niż trzydzieści kalorii dziennie, zawsze wbiegaj po schodach, wysoko unosząc kolana, nie wolno ci zjeść więcej niż 20 widelców posiłku. Żyjesz w świecie iluzji, w którym im mniej wazysz, tym grubszą się widzisz. To próba zrzucenia kajdan jest najtrudniejsza. Kajdaniarze przekonani są, że cienie to prawdziwy świat, jedyny właściwy i istniejący. Wyjście na powierzchnię jest tak nieprzyjemne, że łatwiej i bezpieczniej jest wczołgać się spokojnie do jaskini, gdzie czeka kat biczący cię za próbę oddechu świeżym powietrzem. Punkt kulminacyjny to coś, na co czekają wszyscy twoi bliscy, moment, gdy wszyscy niepiśmienni chłopcy, górnicy postanowią raz na zawsze zmienić bieg historii. Mają dość upodlenia. Wybuchnie protest. Tylko tym razem nie będzie to strajk głodowy jak u Zoli, a coś odwrotnego. Na samym początku niejedzenie daje siłę, wznoszenie się ponad potrzebę tak naturalną. Zmuszanie się do jedzenia to walka na ringu z 200-kilogramowym zapaśnikiem. Najwęższa trzcina w przyrodzie, ale trzcina myśląca. Roślina mająca cel lub chęć uniknięcia czegoś za wszelką cenę. Powód jest bardzo indywidualny, inny dla każdej z nas i zazwyczaj każe na siebie długo czekać. Wąski, lekko szemrzący strumyk woli, by wyzdrowieć, wyruszyć w rejs dookoła świata w nieznanne krainy, musi wypływać z osoby chorej i przejść próbę niebycia zatamowanym, brutalnie zdeptanym przez wstyd przy samym źródle. Gdy zaczyna ci zależeć, by opuścić norę, bo okazuje się, że pałac, w którym byłaś, zarósł dawno kur-

tyną winobluszczu, ściany popękały, a w kątach zaległy się pająki i myszy, gdy myślisz, że już bardziej nienawidzić się nie możesz, nadchodzi miażdżące ułucie, knock down – wstyd.

Wstyd za to, że jesz i co gorsze, sprawia ci to przyjemność. Tylko ła-
miąc zamknięte koło, działając wbrew sobie i zmuszając się do jedzenia,
możesz na horyzoncie pośród otwartego morza znaleźć wyspę nadziei,
słodką obietnicę normalności.



Julia Sałuda
(godło: Redivivatus)
I Liceum Ogólnokształcące
im. Józefa Chełmońskiego
w Łowiczu

Neonowe nagrobki

Lubię zamykać oczy i myśleć. W ciemności, która mnie wtedy otacza, jest coś intrygującego, co pobudza moją wyobraźnię. W przeciwieństwie do reszty ludzkich istot, ja uważam nieprzenikniony mrok za ciekawszy przedmiot do refleksji niż otaczający nas „realny świat”. Bo co może być interesującego w wałęsaniu się po galeriach, robieniu zdjęć każdemu posiadłowi i czekaniu aż ktoś łaskawie je polajkuje? Według mnie, to kompletna strata czasu.

Niestety, z autopsji wiem, że istnieje niemałe grono osób, które bez głębszego zastanowienia wpisałyby moją opinię na „listę myśli zakazanych”. Nie liczę już sytuacji, w których miałem do czynienia z klinicznym przypadkiem ignoranta. Pewnie taki myślał wtedy sobie: „Jak obraz mroku, towarzyszący nam za każdym razem, kiedy opuszczamy powieki, może mieć w sobie cokolwiek bardziej interesującego od najnowszego postu znanej influencerki? Zdążymy się oswoić z nieprzeniknioną czernią po śmierci?”. Pewnie innym dyletantom, zgadzającym się z tą przygnębiającą wizją, kres życia wydaje się tylko nieskończonym morzem ciemności, w którym każdemu z nas pisane jest w końcu utonąć. Ja jednak nie podzielałam w żadnym stopniu ich zdania z prostego powodu, znam osobiście parę duchów czy szkieletów i mogę szczerze zapewnić, że nie narzekają na nudę w życiu pozagrobowym.

Otwieram oczy w momencie, kiedy budzik nastawiony w telefonie uświadamia mi, że jest dokładnie za dziesięć dwunasta. To znaczy, że na mnie już pora. Z lekkim ociąganiem wstaję z zimnych, marmurowych schodów, rosnących przed starą rudera, zwaną niegdyś biblioteką. Sie-

działem na nich przez ostatnią godzinę, dlatego moje kości strzykają nie-
miłosiernie, kiedy wprawiam je w ruch. Dzisiejsza noc jest cicha i zimna,
można by się pokusić o stwierdzenie, że martwa. Jedynie ostatnie oznaki
pogody nie pozwalają na nastanie całkowitego bezruchu. Chowam się głę-
biej w moim starym, znoszonym płaszczu, kiedy przez nagły podmuch
jeżą mi się włosy na karku. Czuję jak mroźny wiatr przeszywa moje ubra-
nie niczym lodowe miecze, pozostawiając po sobie chłód zamiast ran.

Robię zaledwie parę kroków i w jednej chwili znajduję się na bruko-
wanym rynku, w sercu miasta, które dawno przestało bić. Przechodzę
żwawo przez zupełnie nieruchomy plac. Kostka, zapewne niegdyś rów-
no ułożona, jest teraz w opłakanym stanie i wygląda jak brudny materiał
przewleczony szarą nicią zwiędłych chwastów. Tak samo okropnie mają
się budynki leżące najbliżej drewnianego kościoła; mają zawalone stropy
lub brakuje im kilku ścian. Czas nie oszczędził tutaj niczego. Nawet wielki
dzwon, który niegdyś musiał wisieć na kościelnej wieży, rdzewieje gdzieś,
zdjęty ze sznura. W najlepszych latach swojego życia oznajmiał mieszkań-
com miasteczka nadejście kolejnych godzin, co za ironia, że teraz niszczy
go to, nad czym kiedyś miał symboliczną władzę.

Nagle, tuż przy moim uchu słyszę cichy szelest. Felis siada mi na ra-
mieniu w momencie, kiedy przechodzę na drugą stronę wąskiej uliczki,
oddalając się od rynku. Kościste pazury zaciskają się, a ja, mimo woli, od-
wracam głowę w jego stronę. Puste oczodoły w nieco poźółkłej czaszce
natychmiast zwracają się ku mnie. Felis wlepia we mnie swoje krucze spoj-
rzenie, jakby chciał mnie przed czymś ostrzec. Tak mi się przynajmniej
wydaje, bo przez brak gałek ocznych trudno stwierdzić, na co aktualnie
patrzy i czy w ogóle cokolwiek widzi.

Mimo że nie zawsze jestem w stanie domyślić się, jakie myśli rodzą się
w czaszce tego martwego ptaka, uwielbiam, gdy do mnie przylatuje. Dzię-
ki niemu wydaje mi się, że może jest na świecie istota, którą obchodzi mój
los. Nawet jeśli jest to niewielki szkielet kruka, który zwraca na mnie uwa-
gę tylko dlatego, że kiedyś wyciągnąłem go z klatki w jakimś podrzędnym
sklepie z talizmanami, szklanymi kulami i innym voodoo. Mam jednak
wobec niego ogromny dług za to, że jeszcze mnie nie zostawił, wzorem
pozostałych. Jestem prawie pewien, że wśród przedstawicieli swojego spe-

cyficznego gatunku on czuje się tak samo wyobcowany, jak ja w tym, pożał się Boże, otoczeniu nastoletnich abderytów.

Moim oczom ukazuje się całkiem rzeczywista wizja przyszłości w momencie, kiedy przekraczam żelazną furtkę cmentarza. Udaje mi się dotrzeć w ostatniej chwili na wydarzenie, które za niecałą minutę wstrząśnie tym miejscem. Felis wciąż zaciska szpony na moim ramieniu, jakby nie był tylko martwym ptakiem i doskonale zdawał sobie sprawę z tego, co za chwilę się wydarzy. Do godziny duchów zostały zaledwie sekundy. Nerwowo spoglądam na zegarek, którego wskazówki poruszają się o wiele za wolno.

Pięć... Powietrze zastyga w miejscu, a nad cmentarzem zbiera się gęsta jak mleko mgła, przez którą trudno mi dostrzec nawet czubki swoich butów. *Cztery...* Grunt pod nogami zaczyna drżeć, co zmusza mnie do przytrzymania się jednego z nagrobków. Mam cichą nadzieję, że jego właściciel nie będzie miał do mnie pretensji. *Trzy...* Księżyc wylania się w końcu zza ciemnych chmur, żeby oświetlić nienaturalnym blaskiem pomniki grobowe, które po chwili zaczynają jarzyć się własnym światłem. *Dwa...* Czerwona błyskawica przesywa niebo dokładnie w połowie, dzieląc wszystko, co znajduje się pod nim na dwa odrębne światy. *Jeden...*

Teraz najważniejszą rolę do odegrania mam ja. Z miną godną naukowca odbierającego Nagrodę Nobla, wyciągam z plecaka II cz. „Dziadów” Adama Mickiewicza, czym zmuszam Felisa do przeskoczenia na moje drugie ramię. Wziąwszy wpiery głębok i wdech, zaczynam cytować fragment dramatu. Zanim komuś przyjdzie do głowy odstawić to samo: najpierw trzeba mieć tytuł guślarza, a dopiero potem można przywoływać dusze z czyśćca. Ja swój odziedziczyłem po ojcu, więc robię to wszystko w pełni legalnie, zgodnie z odwiecznym prasłowiańskim prawem. Po wyrecytowaniu rytualnego wezwania duchów, atmosfera na cmentarzu dosłownie ożywa. Innymi słowy, impreza się zaczyna.

Wokół mnie pojawia się mnóstwo białych postaci, bije od nich niezemska aura. Równolegle zrywa się nagły podmuch wiatru, który omal mnie nie przewraca. Przyspiesza on przybywanie zmarłych, po chwili wypełniają już cały cmentarz. Ten widok zawsze przywodzi mi na myśl hucznie obchodzony meksykański Dzień Zmarłych „Día de Muertos”, wrażenie to w szczególności potęguje upiorna orkiestra, która ustawiwszy się pod lipą wygrywa popularne w XXI wieku utwory, roznoszące się echem po

całej okolicy. Prawdę mówiąc, wszystkie duchy są w radosnym nastroju, jakby to było przyjęcie urodzinowe, a nie godzina wskrzeszania zmarłych (choć i rażące w oczy, wielobarwne, neonowe nagrobki faktycznie mogą być mylące). Kiedy impreza rozkręca się na dobre i ze wszystkich stron jestem w stanie usłyszeć rozmowy przeplatane śmiechem, bez zwracania na siebie zbędnej uwagi, ruszam cmentarną ścieżką, starannie wymijając unoszące się w powietrzu dusze. Felis wciąż mi towarzyszy, mimo że chwilę temu przybrał postać przezroczystego widma kruka i teraz nie czuję dotyku jego szponów.

– Horacy! Co słyhać u babci? – słyszę, jak z drugiej strony przejścia między sąsiadującymi grobami woła mnie kredowobiała kobieta, ubrana w rozłożystą suknię, sięgającą jej do kostek.

– Dzięki, wciąż żyje! – rzucam w jej stronę i rozmawiamy, wymieniając uprzejmości. Po chwili unosi się do góry, a jej kształty zacierają się na tle listopadowego nieba.

Idę dalej, spotykając kolejne dusze pragnące zamienić ze mną choć parę zdań. Tytuł guślarza zobowiązuje mnie nie tylko do zakończenia obrzędu przed świtem, moim obowiązkiem jest również pomoc duszom, ale muszę przyznać, że lubię te luźne konwersacje. Do wschodu słońca zostało jeszcze ponad pięć godzin.

– Wygraliśmy? – niespodziewanie pyta mnie kolejny rozmówca – starszy jegomość, który pojawia się obok znikąd. Ten duch jest ubrany w wojskowy mundur, jednak moja okrojona wiedza historyczna nie pozwala mi na stwierdzenie, z jakiego dokładnie okresu pochodzi owo odzienie, z I, a może z II wojny światowej? Nie uśmiecha mi się streszczanie przebiegu kolejnych bitew, aby ustalić, który konkretnie rozlew krwi go interesuje, ale nie mogę też zignorować tego staruszka. Na pewno rzadko ma okazję na rozmowę.

– Co takiego? – dopytuję się.

– Czy wygraliśmy z Niemcami!? – wykrzykuje zjawą.

Wydaje mi się, że skądś go kojarzę. Tak, poznałem tego mężczyznę dwa lata temu, wtedy zadał mi to samo pytanie, wciąż pamiętam jak plątałem się z tłumaczeniem wydarzeń sprzed siedemdziesięciu pięciu lat. Teraz jednak dobrze wiem, że on wcale nie zakończył żywota w latach 1939–45, tylko w 2014, a jego typowe pytanie wcale nie dotyczy tej wojny.

– Chodzi panu o mecz piłki nożnej?

– Jak zwał, tak zwał – macha ręką, która przechodzi na wylot przez najbliższy nagrobek.

– 2:0 dla nas – mówię i patrzę jak uśmiechnięty staruszek rozmywa się w powietrzu. Wiem, że nigdy już go nie zobaczę, ale cieszę się, że te kilka słów dało mu ukojenie.

Kiedy wszyscy tu zgromadzeni zdążyli oswoić się z moją obecnością i przestali zasypywać mnie nieskończoną ilością pytań o drogę do zbawienia, ich krewnych czy moje życie prywatne, kieruję się na drugą stronę cmentarza. Sumienie nie pozwala mi przemilczeć faktu, że te zjawiska nadprzyrodzone, mające miejsce wyłącznie dzisiejszej nocy, nie są jedynym powodem, dla którego zjawiłem się na tej nekropolii. Przede wszystkim uwielbiam prowadzić konwersacje z postaciami z minionych stuleci i to właśnie na to czekam cały rok z utęsknieniem. W cichszej części cmentarza nagrobki również mienią się wszystkimi kolorami tęczy, jednak jest tu znacznie mniej duchów, niż w centrum imprezy. Niektórzy cenią sobie spokój nawet w życiu pośmiertnym i ja to rozumiem, też nie uchodzę za „duszę towarzystwa”.

Po raz pierwszy zawędrowałem w te strony kilka lat temu. Podczas czytania jego epitafium, spotkałem młodo wyglądającego ducha. „Spotkałem” to za dużo powiedziane, prawie dołączyłem do grona zmarłych, kiedy nagle tuż za sobą usłyszałem tajemniczy szept i poczułem zimny dreszcz spływający po kręgosłupie. Wciąż nie wiem, z jakiego okresu historycznego pochodzi, czy zginął w bitwie, czy podczas epidemii (dla niego to chyba i tak nie ma większego znaczenia), ale na ten moment Lucjusz jest moim jedynym przyjacielem. Nie licząc oczywiście Felisa, który nie wiedzieć czemu mnie wybrał. Chociaż, będąc szczerym, większość duchów trudno jest zrozumieć. Niektóre w co drugie zdanie wplatają filozoficzne refleksje, inne – mówią przestarzałym językiem albo w ogóle nie mają języka. Tak, to też się zdarza, taka kara była kiedyś nader modna. Ale to wszystko nie oznacza, że rozmowa z widmami nie ma sensu, wręcz przeciwnie, nie znam sensowniejszej czynności niż przyjemna wymiana myśli, która jednocześnie może stanowić formę pomocy czyścowym duszą. Warto rozmawiać.

– Co słycać? – pyta mnie Lucjusz, który pojawia się nagle siedzący na swoim nagrobku.

– Aktualnie „Małomiasteczkowego” – odpowiadam zgodnie z prawdą, bo orkiestra widm właśnie zmieniła repertuar z disco polo na pop.

Lucjusz, odkąd go poznałem, ma wygląd nastolatka. Nie wiem, jaki był za życia, jednak jego blada, pośmiertna wersja przypadła mi do gustu. Jest spokojniejszy od większości duchów szalejących z okazji pobytu w świecie żywych. Na dodatek, on jako jedyny mnie rozumie. Od pięciu lat co roku rozmawiamy ze sobą o wszystkim i o niczym, prowadzimy dyskusje, wymieniamy się poglądami i żartujemy w tym krótkim czasie. Będzie mi przykro, kiedy w końcu znajdzie w rozmowie ze mną to, czego szuka i odejdzie.

– Jak żyjesz? – standardowo zaczyna Lucjusz.

– Z każdym rokiem coraz mniej – odpowiadam sfrustrowany, po czym dodaje: – Świat ludzi jest okropny. Dobija mnie, że muszę czekać cały rok, żeby normalnie z kimś porozmawiać.

– Wiesz, że nie musisz mieć tylko jednego przyjaciela.

– Tak, od pięciu lat powtarzasz, że powinienem znaleźć w sobie siłę i nie poddawać się w poszukiwaniu kogoś żywego, kto mnie zrozumie.

– Cieszę się, że mnie słuchasz – odpowiada Lucjusz z uśmiechem na kredowej twarzy.

– Może i wy wszyscy jesteście martwi – wskazują na snujące się po cmentarzu niewyraźne postaci – ale to ludzie są prawdziwymi „żywymi trupami”.

– Co masz na myśli?

– Współczesnego człowieka postrzegam jako pustkę intelektualną, nie potrafiącą współistnieć z innymi. Widzi on tylko czubek własnego nosa, nie dostrzega pozostałych. W skrócie, jest zadufanym w sobie materialistą, niezdolnym do koegzystencji.

Jestem wdzięczny, że zostałem guślarzem i dzięki temu mam kontakt ze światem zmarłych. Gdyby nie Lucjusz, nie miałbym nikogo, z kim mógłbym porozmawiać. Dla niektórych pewnie zabrzmie dziwnie, ale prawdą jest, że czuję się o wiele swobodniej w towarzystwie duchów niż ludzi. Martwi wydają mi się o wiele bardziej wyrozumiali i przede wszystkim przyjemniejsi od wiecznie skłóconych, niezadowolonych i obojętnych

„żywych”. Może to dlatego, że rozumieją lepiej znaczenie życia i jego ulotność, w końcu na „własnej skórze” poznali, że nie warto marnować czasu na uprzedzenia i szerzenie nienawiści.

Wtem słyszę pianie koguta i pierwsze promyki listopadowego słońca padają na moją twarz. Duchy nie przerywają wesołych rozmów, ale każdy doskonale wie, co się święci. Lucjusz żegna się ze mną skinieniem głowy, na co ja odpowiadam tym samym. Zamykam oczy i cicho recytuję inkantację kończącą rytuał. Przed dokończeniem zaklęcia powstrzymuje mnie wizja powrotu do okrutnej rzeczywistości. Nie chcę przeżywać kolejnego roku w intelektualnej samotności. Duchy przychodzą i odchodzą, ja na razie nie mam wyboru, będę tęsknił za tą mądrą i jednocześnie niepozabawioną humorem konwersacją. Lucjusz kazał mi się nie poddawać, więc tak zrobię. Nie wyzbędę się nadziei na znalezienie ludzi chcących myśleć i rozmawiać oraz ceniących takie wartości jak: prawda, tolerancja, altruizm i szacunek.

Gdy otwieram oczy, cmentarz jest już całkiem pusty. Wracam do żywych.



III miejsce (proza)

**Aleksandra Gołdy
(godło: Carmen)
III Liceum Ogólnokształcące
im. Adama Mickiewicza
w Katowicach**

Po drugiej stronie lustra

Spojrzałam w lustro i pierwszy raz od wielu dni stwierdziłam, że wyglądam naprawdę dobrze! Spoglądała na mnie dziewczyna o błękitnych oczach pełnych blasku oprawionych długimi rzęsami, jej zarumieniona twarz okolona była złocistymi kosmykami włosów do ramion. Smukłe ciało opinała czarna sukienka, która podkreślała talię, krągłe piersi i biodra, skóra lśniła drobinkami brokatu. Uśmiechnęłam się do siebie, wzięłam małą czarną torebkę, strąciłam ze stołu opakowania po lekach, odłożyłam jakąś pustą butelkę na bok, ubrałam płaszcz i wyszłam z domu.

Styczniowe powietrze było mroźne, z moich ust wydobywały się obłoczki pary. Słońce już zaszło, ale chodnik oświetlały latarnie. Nawet ta zwykła ulica na przedmieściach wydawała się taka piękna. Było coś przyciągającego w tej mrocznej aurze, w tych chwilach, kiedy wychodziłam ze snopu światła latarni, by za chwilę wejść w mrok. W oddali pędziły auta na autostradzie, sprawiając, że droga wyglądała niczym srebrna nić.

Usłyszałam ciężkie basy muzyki wydobywającej się z budynku. Założyłam swój najładniejszy uśmiech i przekroczyłam próg. Otoczyła mnie kakofonia dźwięków, śpiewu, muzyki, rozmów, brzęku szklanek. Powietrze było zadymione, czuć było zapach papierosów i czegoś jeszcze. Odłożyłam płaszcz, poprawiłam się przed lustrem i poczułam czyjeś ramiona obejmujące mnie od tyłu.

– Kobieto! Gdzie ty się podziewała? Impreza trwa w najlepsze, wszyscy o ciebie pytają, a ty jak gdyby nigdy nic przychodzisz sobie spacerkiem! Pomyślałaś, z kim ja mam tu gadać? Sorry, kochana, zapominasz, że nie jestem tak popularna jak ty! – wyrzuciła z siebie jednym tchem moja

najlepsza przyjaciółka Magda. Znałyśmy się od dziesięciu lat i chociaż miałyśmy za sobą wiele wzlotów i upadków, to i tak nie mogłyśmy bez siebie żyć. Magda była niską, drobną brunetką, która zdecydowanie nie doceniała siebie i swojej urody. Codziennie widziałam nieśmiało spojrzenia chłopców w jej stronę. Na co dzień była dość spokojną osobą, ale jeden drink wystarczał, żeby przeobraziła się w duszę towarzystwa.

– Przepraszaaam... – westchnęłam i odwzajemniłam uścisk. – Musiałam jeszcze coś załatwić, ale już jestem i nie zamierzam cię opuścić aż do rana, honey! – zażartowałam. Zlustrowałam Magdę wzrokiem i muszę przyznać, że wyglądała cudownie. Brązowe loki opadały jej na plecy, a drobną sylwetkę i śliczną rumianą twarz podkreślała różowa sukienka i delikatny makijaż. – Madzia, wyglądasz cudown... .

– Dobra, dobra! – zbyła mnie i wzięła za rękę. – Ty już nie gadaj i chodź się przywitać z resztą, napij się, kobieto, i rozkręć tę imprezę!

Zaśmiałam się i posłusznie podążyłam za moją przyjaciółką. Zalały mnie światła. Blask. Kolory. Muzyka. Śmiechy. Weszłyśmy w tłum ludzi, zaczęłam wszystkich przytulać i się witać. Impreza liczyła około siedemdziesięciu osób, więc powitania trochę zajęły, ale uwielbiałam tych ludzi. Większość z nich była tylko moimi kolegami lub znajomymi, ale miałam też tu kilku dobrych przyjaciół. Wszyscy byli sobie bardzo życzliwi i nie było żadnych kłótni czy nieporozumień. Dostrzegłam w tłumie błysk cekinów, brokatu, neonowych barw, uśmiechów. Przedzierając się przez zbiorowisko ludzi ku stolikowi z napojami, słyszałam szept „ale ona jest piękna”, „widziałas tę figurę? ciało bogini”, „mogłaby mieć każdego”. Uśmiechnęłam się pod nos i zadowolona podeszłam do barku. Stał tam gospodarz, Krzysiu.

– Oho! Kogo my tu mamy! Przyszła nasza gwiazda! – wykrzyknął serdecznie i puścił oczko.

– Daj spokój, Krzysiu, i przestań gadać głupoty! Zrobiłbyś mi jakiegoś drinka, mistrzu?

Nasz barman ochoczo zabrał się do mieszania różnych napojów, rozmawiając ze mną o wszystkim i niczym. Krzysiu był bardzo serdeczny i pełen energii, dlatego też miał tak liczne grono znajomych. Gdziekolwiek się pojawiał, ludzie się śmiali z jego dowcipów i lgnęli do jego ciepłej i życzliwej natury. Kiedy skończył przygotowywać drinka, wzięłam od nie-

go szklanek i z miną konesera wykrzyknęłam „Magnifique!”. Zawartość szklanki smakowała cytryną i miętą, ale też jakąś ziołową mieszanką. Sącząc napój, ruszyłam do ludzi. Wszyscy się doskonale bawili, każdy miał z kim rozmawiać i dobrze się bawił, czułam się tak świetnie w tej atmosferze jedności i zabawy. Skończyłam drinka i ruszyłam na parkiet. Stałam się jednością z muzyką, zaczęłam wirować, śmiać się, krzyczeć i tańczyć. Leciąca akurat piosenka „I want to break free” i czułam się wolna. Czułam się szczęśliwa i spełniona wśród ludzi, których znam i lubię. Alkohol lekko szumiał mi w głowie, ale czułam się doskonale. W tej euforii rozmawiałam ze znajomymi, żartowałam, chichotałam i piszczalam. Kolorowe światła padały na ludzi barwnymi plamami. Wszystko płynęło, wszystko było idealne. Ciała zgromadzone w jednym pomieszczeniu poruszały się we wspólnym rytmie, niczym jeden organizm. Wszyscy wystrojeni i oryginalni. Zarumienione policzki, szyje lśniące od potu, ramiona obejmujące talię, kołyszące się biodra. Spocona i zmęczona poszłam do baru, żeby jeszcze się napić i wtedy go zobaczyłam. Poprawiłam sukienkę, otarłam pot z czoła i uśmiechnęłam się. Przy stoliku z napojami stał Michał, który podobał mi się od dłuższego czasu. Chodziliśmy razem do szkoły, całkiem sporo rozmawialiśmy, ale wciąż był dla mnie zagadką. Sprawiał wrażenie otwartej osoby, ale w jego oczach barwy czarnej kawy kryło się coś więcej niż tylko imprezujący chłopiec. Był inny i dlatego go lubiłam. Miał ciemne, lekko kręcone włosy, wydatną szczękę, szczupłą i wysoką sylwetkę i szerokie barki. Był ubrany w czarną koszulę i spodnie. Podobał się wielu dziewczynom. Podeszłam do niego i przekrzykując muzykę zapytałam:

– Jak tam, panie mroczny? Dobrze panu mija impreza?

Zaśmiał się lekko, a na jego policzkach pojawiły się dołeczki.

– Bardzo dobrze! – odparł. Uniosłam brwi niezbyt przekonana jego słowami, ale nie kontynuowałam tematu. – Chcesz się czegoś napić? – zaproponował.

Poprosiłam, żeby przygotował coś dobrego i przypatrywałam się, jak zręcznie kroił cytrynę, a jego długie palce odkręcały butelki. Pokręciłam głową i wyrwałam się z transu natarczywego przypatrywania się Michałowi. Podał mi szklanek, sam też wziął jedną i wzniesiliśmy toast. Spojrzałam na niego pytająco, a on powiedział:

– Za marzenia! Bo chociaż zazwyczaj się nie spełniają, to jednak nadają chyba jakiś sens naszemu życiu...?

Stuknęliśmy się szklankami i zaczęliśmy szyć drinki. Wiedziałam, że jego wypowiedź była nawiązaniem do jakiejś powieści Paula Coelho, ale nie miałam pojęcia, skąd brało się w nim czasem tyle goryczy i nostalgii. Ruszyliśmy na parkiet. Kolorowe światła oświetlały nasze twarze. Pomimo iż nie sądziłam, że Michał coś do mnie czuje, to lubiłam z nim przebywać. Czułam nic porozumienia między nami. Ktoś zaczął puszczać hity naszego dzieciństwa. Lady Gagę, Katy Perry, Rihannę. Śmiejąc się i śpiewając „want you to make me feel like I’m the only girl in te world...”, zbliżyłam się do Michała i zachęciłam go, żeby też tańczył, żeby wkroczył w ten zgodny tłum, oddychający jednym powietrzem. Świat był cudowny, doskonale się czułam wśród tylu ludzi, jednakże mój euforyczny stan mu się nie udzielił i odszedł. Czasem naprawdę nie wiedziałam, czemu jest aż tak pochmurny. Westchnęłam ciężko i wybiegałam za nim na zewnątrz. Lekko zakręciło mi się w głowie, ale poszłam za nim. Stał oparty o ścianę budynku i beznamiętnie patrzył przed siebie.

– Heeej, co się stało? – spytałam zachrypniętym od śpiewu głosem. – Chcesz o czymś pogadać?

– O czym marzysz?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Sama nie wiedziałam, czułam się naprawdę szczęśliwa, ale jeśli czegoś mi brakowało, to kogoś, kto byłby ze mną blisko, akceptowałby mnie, kochał i wspierał. Za każdym razem, kiedy myślałam o takiej osobie, miałam przed oczami jego twarz, ale spychałam te myśli w głąb mojej podświadomości.

– Chyba chciałabym być szczęśliwa i pewnego dnia móc powiedzieć, że dobrze przeżyłam swoje życie... – odparłam niepewnie.

– Wiesz jak wielu chłopaków, i nie tylko, marzy akurat o tobie? – parsknął.

Tak, wiedziałam, ale czułam się trochę niezręcznie, słysząc to. Zachichotałam nerwowo i odbiłam piłeczkę.

– A ty? Czego pragniesz?

Zapadła chwila niezręcznego milczenia. Po raz pierwszy odkąd przyszałam, spojrzął mi w oczy i wypalił:

– Chciałbym pójść z tobą na kawę. Do kina. Na spacer, rozmawiać z tobą, poznawać cię.

– A-ale, Michał...

– Czekaj, wiem, że to pewnie niemożliwe, ale chciałem ci tylko powiedzieć, że lubię cię, bo jesteś zabawna, inteligentna, czytana, nie dlatego, że jesteś jedną z najpiękniejszych dziewczyn, jakie kiedykolwiek spotkałem.

Zaniemówiłam, ponieważ nigdy nie słyszałam, żeby Michał wypowiedział tyle słów naraz, ale też dlatego, że nigdy żaden chłopak mnie nie lubił za moją osobowość. Ona zawsze była drugorzędna. Czasem było mi z tego powodu przykro, ale nauczyłam się z tym żyć. Zazwyczaj słyszałam tylko propozycje jednonocnych przygód, nie związku. Serce zabiło mi szybciej.

– Marzenia są po to, żeby je spełniać, prawda? – wyszeptalam i zmniejszyłam dzielący nas dystans aż obłoczki pary wydobywające się z naszych ust zaczęły się mieszać. Pocałowałam go. Na początku był w szoku, ale po chwili odwzajemnił pocałunek. Głaskał moje włosy, dotykał moich pleców, talii. Objęłam jego szyję. Nie był taki jak inni. Nie był tak zachłanny i łapczywy. Nie naruszał moich granic. Traktował mnie z czułością i delikatnością. Na zewnątrz było jakieś -10 stopni, ale nie czułam chłodu. Byłam taka szczęśliwa, miałam wokół siebie ludzi, których uwielbiałam, w tle grało „put your hand on my shoulder”, a ja czułam się niczym piękność z dawnego Hollywood. Czułam tak wszechogarniające szczęście. Życie było piękne, nie byłam sama, właśnie okazało się, że chłopak, za którym szaleje też mnie lubi. Kochałam siebie, kochałam świat. Odsunęłam się od Michała i uśmiechnęłam się szeroko. Trzymaliśmy się za ręce w milczeniu, a ja czułam rozlewające się ciepło w sercu. Było tak pięknie, gwiazdy były rozsiane po całym niebie, księżyc był w pełni. Było tak wspaniale, tak cudownie, tak bajkowo... Czy to był tylko sen? „Och, życie kocham cię, kocham cię, kocham cię nad życie, poznawać pragnę cię, pragnę cię, pragnę cię w zach...”

Miałam chaos w głowie, a może nic w niej nie miałam? Uśmiechnęłam się na myśl o tym, co się właśnie stało. Wyciągnęłam rękę przed siebie, ale nikogo obok mnie nie było. Otworzyłam oczy. Światło porannego słońca raziło mnie. Zaatakowały mnie mdłości. Rozejrzałam się po pomieszczeniu i odkryłam, że jest to ni mniej ni więcej tylko mój własny pokój.

„Gdzie są wszyscy? Gdzie jest Magda? Gdzie Michał? Gdzie Krzysiu?”, powtarzałam gorączkowo. Zrobiło mi się słabo. Wszystko wirowało mi przed oczami, poczułam, że nie umiem oddychać. Wstałam z łóżka i coś zachrząściło pod moimi stopami, schyliłam się, ale dostałam zawrotów głowy, upadając, usłyszałam dźwięk tłuczonego szkła. Leżałam chwilę na ziemi, mając przed oczami czarną plamę, a w uszach szum. Kiedy mi przeszło, zauważyłam pięć zużytych opakowań po tabletkach. Nie czułam bólu, ale po chwili zobaczyłam moją dłoń w odłamkach szkła po stłuczonej półlitrowej butelce wódki. Przetarłam oczy i dotarło do mnie, co się stało, a właściwie, że nic się nie stało. Nie wyszłam z domu, nie byłam na imprezie, nie znalazłam chłopaka, któremu by na mnie zależało. Po prostu przed snem naćpałam się, kilkudziesięciokrotnie przekraczając dawkę leku z apteki i zapiłam to wódką. Oczywiście, że to był tylko sen, idiotko. Poszłam do łazienki, zaczęłam się histerycznie śmiać. Nie mogłam przestać. Spojrzałam w lustro. Zobaczyłam w nim bladą blondynkę z podkrążonymi i przekrwionymi oczami. Jej tęczówki były barwy lodu. Policzki miała zapadnięte, włosy w nieładzie. Piżama była brudna, najprawdopodobniej od moich własnych wymiocin. „Szkoda żeś się kurwa nie udusiła przez sen. Szkoda kurwa, szkoda” zaczęłam krzyczeć i uderzać pięściami w ścianę. Wbijałam coraz głębiej w dłoń odłamki szkła po stłuczonej butelce. Na ścianie były ślady krwi. Osunęłam się na ziemię i ciężko dysząc, próbowałam się uspokoić. Nie miałam przyjaciół. Nikt mnie nigdy nie zaprosił na żadną imprezę. Magda była najpopularniejszą dziewczyną w szkole, ale w liceum znalazła sobie inne przyjaciółki i nie zwracała na mnie uwagi. Michał mówił mi tylko czasem „cześć” na szkolnym korytarzu. Wzięłam głęboki wdech, chociaż coś ścisnęło mnie w klatce piersiowej. Oczywiście, że to nigdy nie będzie moje życie. Za każdym razem przychodził ten moment otrzeźwienia. Ale tylko w moich narkotycznych wizjach mogłam doświadczyć bycia piękną, lubianą, kochaną. Posiadania kogoś, kto będzie ze mną, kiedy będę tego potrzebować...

No, ale koniec tego mazgajenia się. Wstałam z podłogi, poszłam na czworaka do mojego pokoju, ponieważ wiaź miałam problem z utrzymaniem równowagi. Wyciągnęłam nerwowo portfel. Miałam jeszcze trochę pieniędzy. Starczy mi, żeby dzisiaj się naćpać. Starczy. Pomyślę, skąd wezmę pieniądze na jutro, ale na dziś starczy. Starczy...

Powtarzałam to jak mantrę i uśmiechałam się do siebie na myśl o powrocie do tego pięknego barwnego świata. Jakoś wytrzymam te kilkanaście godzin w stanie trzeźwości, przecierpię tę obrzydliwą, gorzką rzeczywistość, w której jestem sama. Zgniła. Zepsuta. Niechciana. Dam radę. Za chwilę wrócę, moi drodzy, za chwilę wrócę do mojej krainy czarów. Zachichotałam.

Tylko wariaci są coś warci, prawda?



Matylda Pędzińska
(godło: Esther Greenwood)
IV Liceum Ogólnokształcące
im. Adama Mickiewicza
w Warszawie

Gry i zabawy według św. Antoniego

Najbardziej lubią go chyba osoby starsze, te, które na co dzień zajmują się głównie odpoczywaniem. Mają one najwięcej czasu ze wszystkich; ich plan dnia uwzględnia naprawdę dużo wolnych chwil. Dzieje się tak dlatego, że – gdy człowiek osiągnie już pewien wiek – naukowcy nie są tutaj zgodni w kwestii liczb – jest w stanie sam władać swoim własnym czasem. Decyduje wtedy, jak szybko minie mu kwadrans bądź godzina, nie potrafi jednak dostosowywać czasów innych ludzi do swojego. Pomimo tego nikt nie narzeka, a taki porządek rzeczy spotyka się wręcz z powszechną aprobatą. Dzięki niemu nikt w podeszłym wieku nigdy nie przegapił prognozy pogody w telewizji bądź ulubionej audycji radiowej, a gdy coś mu zaginie, nie potrzebuje szukać na gwałt. Może więc spokojnie usiąść i pomodlić się do świętego Antoniego.

Do Antoniego zwracają się czasami również dorośli, natomiast młodzież i dzieci – niemal nigdy. A przecież on sam też był kiedyś dzieckiem; uczniem, rozrabiaką. Święty Antoni nie uważał w szkole — ciągnął siedzącą przed nim świętą Agnieszkę za jej długi warkocz koloru letnich kłosów. Święty Antoni zawsze oszukiwał, grając w kulki. Lubił także godzinami grzebać w piaskownicy, a po obfitym deszczu chętnie wkładał dłoń do najgłębszej kałuży na podwórku. Zawsze udawało mu się odnaleźć w niej jakiś przedmiot. Nie byle jaki kawałek kolorowego szkieleka czy plastiku, a raczej coś znacznie ciekawszego, jak na przykład figurkę żółwia z różowego kwarcu lub doskonale działającą elektryczną temperówkę. Jednak święty Antoni został oficjalnie mianowany patronem rzeczy i ludzi zagubionych, ponieważ sam poznał, jak to jest się zgubić.

Było wiele tysięcy lat temu, gdy na prośbę Boga Ojca wybrał się na samotną wyprawę po górach. Przemierzał je bardzo długo – tak długo, że sam zapomniał, kim jest i w jakim celu wędruje; utknął w zagubieniu. Miał wrażenie, jakby Bóg Ojciec okłamał go i opuścił na zawsze. Antoni poczuł się zapomniany, a było to uczucie tak silne, że gdyby oprócz duszy posiadał również ciało, nie byłoby ono w stanie tego przeżyć. Zrozumiał, że zagubieni ludzie i przedmioty potrzebują opiekuna. Tak właśnie został świętym.

Antoniego fascynują wytwory ludzkości, najbardziej instrumenty muzyczne i książki. Trudno jest jednak schować człowiekowi flet lub wiolonczelę tak, by niczego nie zauważył. Antoni bardzo nad tym ubolewa. Pożycza więc od ludzi książki i jednym tchem chłonie ich treść. Problemy człowieka ciekawią go, jednak nie jest w stanie ich zrozumieć. Nie pamięta już swojego ciała, które zamieszkiwał przez krótki czas bardzo, bardzo dawno temu. Przyszłość Antoniego nie zaprzęta mu głowy, ponieważ doskonale wie, jak będzie wyglądać – nie będzie różniła się niczym od przeszłości i teraźniejszości. Człowiek cały czas myśli o swojej przyszłości, ponieważ będzie dla niego inna od tego, co było i tego, co jest.

Niektórzy ludzie nie dbają o swoją własność, traktują ją jako coś oczywistego, coś, co się im należy. Wtedy święty Antoni odbiera im ją – czasami na zawsze. Przenosi ją wtedy w lepsze miejsce, tam, gdzie bardziej się komuś przyda. Nie wolno mu jednak odbierać niczego zwierzętom. Gdyby to zrobił, na pewno dowiedziałby się o tym święty Franciszek, a to nie skończyłoby się dobrze. Franciszek jest ważnym świętym – tak ważnym, że ludzie poznają jego historię już w dzieciństwie.

Raz na sto lat święty Antoni ma prawo zabrać coś dla siebie. Wszystko, co mu się spodoba kładzie na półce nad swoim łóżkiem, aby móc patrzeć na swój zbiór osobliwości, kiedy się modli. A Antoni – tak, jak każdy inny święty – modli się bardzo długo. Wystarczająco długo, by podczas modlitwy zdążył obejrzeć całą swoją kolekcję co najmniej kilka razy – jest z niej naprawdę dumny. Składa się ona z zasuszonych bukietów, niedocenionych za życia przez chciwe żony oraz biletów na daleki lot ku niewierności, które zakupili ich mężowie. Antoni przewiązał czerwonymi wstążeczkami starannie sfalszowane dokumenty sprzed dziesięcioleci. Ciężkie grawe-

rowane sygnety, pamiątki dawno już zapomnianych ludzkich rodów, leżą misternie wypolerowane.

Święty Antoni najchętniej odbiera bogaczom walizki z pieniędzmi, drogocenne przedmioty i złoto, ale nigdy nie zabiera ich dla siebie. Prawdę mówiąc, trochę go przerażają; nie rozumie, dlaczego ludzie potrafią wyrządzać zło w imię posiadania dóbr materialnych i boi się, że zawładną one również nim, jeśli będzie je trzymał przy sobie. Nie wie jednak, że jest niezdolny do czynienia zła. Zło nie leży w naturze świętych; w ich żyłach zamiast krwi przepływa dobro. Święci płaczą dobrymi łzami i pocą się dobrem.

Czasami czuje się gorszy. Podczas gdy inni święci chronią ludzi biednych, skrzywdzonych czy bezdomnych, on pełni funkcję samotnego urzędnika w okienku biura rzeczy znalezionych. Wtedy Antoniego ogarnia smutek i aby poczuć się lepiej, chowa rzeczy ludziom tylko po to, by o nim pamiętali. Bywa i tak, że długo nie może nacieszyć się modlitwami i przetrzymuje zguby dłużej, niż powinien. Niektórzy ludzie modlą się tak żarliwie, że Antoniemu kręci się łza w oku. Wtedy obiecuje sobie, aby w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat niczego im nie chować, jednak przypadkiem zapomina o nich całkowicie. Dzieje się tak, ponieważ w niebie czas płynie zupełnie inaczej niż na ziemi.

W najtrudniejszych dla niego chwilach święty Antoni strąca na podłogę cały swój zbiór z półki nad łóżkiem. Wpada w ogromną rozpacz i rzuca się na kolana, przeklinając wszystko, co istnieje; klęczy na podłodze wśród drobno stłuczonego szkła. I tak, jak w chwili, która uczyniła Antoniego świętym, Bóg Ojciec obserwuje go kątem oka, kiwając głową w zamyśleniu. Wie, że ból Antoniego napędzany jest przez miłość.

Święty Antoni naprawdę kocha ludzi.



Malwina Kujawska
(godło: Chryzantema)
I Liceum Ogólnokształcące
im. Jarosława Dąbrowskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

Dwa razy ja

Ciemna uliczka. Krew spływająca po dłoniach delikatnymi strumieniami. W oddali nóż z długim ostrzem, cały w czerwonej substancji. Obok rozmazana postać człowieka, wygląda na mężczyznę, jednak nie mogę rozpoznać twarzy. Wszystko jest rozmazane, jakby za mgłą. Po chwili do moich uszu dochodzi ryk syreny policyjnej, więc wstaję, podnoszę coś z ziemi i biegnę.

Z okrutnego koszmaru wybudził mnie irytujący dźwięk budzika, który jak co rano, nie daje mi spać. Głośno westchnąłem, otwierając oczy, dłonią próbując odnaleźć budzik stojący na szafce nocnej, która znajduje się tuż obok mojego łóżka. Gdy rozpaczliwy dźwięk ustaje, oddycham z ulgą i podnoszę się do siadu.

– Czy naprawdę muszę iść do pracy? Czy naprawdę tak bardzo potrzebuję tych pieniędzy? – szepnąłem do siebie, tępo patrząc za okno.

Na zewnątrz padał deszcz, a liście wirowały wśród drzew. Cholerna jesień.

Byłem jedynie studentem, na drugim roku dziennikarstwa. Moi rodzice nie zarabiali zbyt wiele, więc sam musiałem opłacać czynsz i kupować sobie jedzenie. Chciałem jak najszybciej skończyć studia i móc iść do porządnej pracy.

W końcu postanowiłem wstać z łóżka, jakby zapominając o pytaniu, które przed chwilą padło z moich ust. Wyszedłem ze swojego niewielkiego pokoju i skierowałem się do kuchni. Już w korytarzu spotkałem swojego współlokatora. Był to blondyn, o niebieskich oczach, jego szczeka była wyraźnie zarysowana, a postura wskazywała na to, że chłopak był częstym

klientem pobliskiej siłowni. Znałem go od ponad dwóch lat, czyli od dnia, w którym przeprowadziłem się do tego mieszkania. To on pierwszy je wynajął i szukał współlokatorów. Był to dość pogodny człowiek, czasem nawet dziecinny. Uczył się na tej samej uczelni, co ja. Byliśmy nawet w tym samym wieku.

– Cześć, Christian, ciężka noc, co? – usłyszałem z ust blondyna.

Zmarszczyłem brwi na dźwięk jego słów, nie wiedząc, o co mu chodzi.

– Hej, Harry – zacząłem, kiwając do niego głową na przywitanie. Wyszły poszedł w stronę kuchni, więc zrobiłem to samo.

– Co masz na myśli, mówiąc ciężka noc? – spytałem unosząc brew i oparłem się o blat.

Chłopak zaśmiał się na moje słowa, co jeszcze bardziej zbiło mnie z tropu.

– Słyszałem, że wróciłeś wczoraj późno do domu – odparł, wzruszając ramionami. W dłoń wzięł czajnik, nalał do niego wody, a następnie postawił go na płytę indukcyjną i również oparł się o blat, stojąc naprzeciwko mnie.

– Musiało ci się wydawać. Od razu po wykładach wróciłem do domu – odparłem krótko i dłonią poprawiłem swoje włosy.

Widziałem, że Harry miał coś odpowiedzieć, jednak obaj usłyszeliśmy klucz przekręcany w drzwiach wejściowych. Po chwili otworzyły się, a my usłyszeliśmy charakterystyczny krok Alexa.

– Cześć, chłopaki! – krzyknął od progu i zdjął swoje buty, a następnie przyszedł do kuchni. Wiedział, że o tej godzinie już nie śpimy i jemy śniadanie lub pijemy kawę. Była to nasza nudna rutyna. Kiwnęliśmy do starszego głową, a on swoje kroki skierował do niewielkiego salonu, który połączony był z naszą kuchnią i od razu położył się na kanapie.

– Dzisiejsza zmiana była taka męcząca. Jest środek tygodnia, a ludzie mimo to przychodzą do klubu – westchnął zmęczony, a my zaśmialiśmy się na jego słowa.

Mówił nam to codziennie. Dla Alexa codziennie było za dużo ludzi w klubie, w którym pracował jako barman. Był starszy ode mnie i od Harrego o ponad trzy lata. Mężczyzna skończył studia, jednak nie pracuje jako architekt. Po długim poszukiwaniu pracy skończył jako barman i sam mówi, że to mu bardzo odpowiada. Mój starszy współlokator miał ciemne,

wiecznie za długie włosy, które starannie układał, jego postura wydawała się nieco wątła, może dlatego, że miał ponad 190 cm wzrostu i nie był zbyt wysportowany, raczej chuderlawy. Typowy zrzęda, mimo to jego IQ było naprawdę wysokie. Posiadał wiedzę na naprawdę wiele tematów, myślę jednak, że niezbyt chętnie ją wykorzystywał. Sam mi kiedyś powiedział, że inteligentniejsi ludzie mają trudniej w życiu. Nie wiedziałem, czy to prawda, czy też nie, raczej się nad tym dłużej nie zastanawiałem.

– Słyszeliście o tym zabójstwie dwie przecznice dalej? – spytał najstarszy, przeglądając przy tym telefon. Nie wiedziałem dlaczego, jednak w tamtym momencie moja głowa zaczęła strasznie boleć. Złapałem się szybko za skroń i zamknąłem oczy, mając nadzieję, że choć na chwilę uśmierzy to mój ból. Przed oczami miałem widok ze snu. Widziałem swoje zakrwawione dłonie. Szybko otworzyłem oczy i z przerażeniem spojrzałem na ręce, jednak nic na nich nie było. Harry, stojący obok spojrzał na mnie zdziwiony i złapał za moje ramię.

– Wszystko okej, Chris? – spytał widocznie zmartwiony. Nawet Alex uniósł wzrok znad swojego telefonu.

– Wszystko jest dobrze. Po prostu przypomniało mi się, że muszę coś załatwić – skłamałem pośpiesznie i wyszedłem z kuchni, zapominając o kawie czy innych czynnościach swojej porannej rutyny. Szybko wróciłem do pokoju i podszedłem do szafy, otworzyłem ją, wyciągnąłem zwykłe, czarne jeansy oraz tego samego koloru bluzę. Po założeniu bielizny, założyłem wcześniej wybrane ubrania. Schowałem telefon, portfel oraz klucze do kieszeni i szybko wyszedłem z mieszkania, zakładając przedtem buty i nawet nie żegnając się ze współlokatorami.

Nie byłem do końca świadomy tego, co robię. Czułem się, jakbym był w amoku, jakby ktoś zupełnie inny prowadził moje ciało. Po kilku minutach dynamicznego marszu dotarłem do wąskiej uliczki, która była niemalże pusta, jednak po dłuższej chwili rozglądania się zobaczyłem ślady krwi na betonie oraz murze. To było to miejsce. Dokładnie tę uliczkę widziałem dziś w moim śnie, ale czemu śniło mi się zabójstwo, które naprawdę miało miejsce? Czy był to jakiś proroczy sen? Naprawdę miałem mętlik w głowie. Często miewałem dość realistyczne sny, jednak nigdy nie doświadczyłem czegoś takiego. W mojej głowie cały czas odbijały się echem

słowa Harrego o moim rzekomo późnym powrocie. Nie wiedziałem, co mam o tym myśleć, w końcu wieczorem nigdzie nie wychodziłem.

Po chwili usłyszałem męski głos. Przestraszony ocknałem się i rozejrzałem wokół siebie. Bałem się, że to wszystko dzieje się w mojej głowie, że to moja wyobraźnia płata mi figle. Na szczęście tuż obok siebie zobaczyłem mężczyznę, wyglądał na około czterdzieści lat. Miał brodę, a na jego czarnych włosach można było dostrzec siwe ślady. Był dość dobrze zbudowany, co ukazywała jego niebieska, nieco opięta koszula.

– Mogę jakoś panu pomóc? Co pan tu robi o tak wczesnej porze? – spytał niskim, zachrypniętym głosem i zmierzył mnie od góry do dołu. Jego wzrok był przenikliwy i wręcz podejrzliwy. Nie podobało mi się to.

– Przechodziłem tu przypadkiem – odparłem szybko i wzruszyłem ramionami. Nie chciałem dać nic po sobie poznać. Mężczyzna nie wydawał się zbyt przyjazny, więc nie mogłem powiedzieć, że sam nie wiem, co tu robię.

– Często pan tędy przechodzi? – spytał, unosząc brew i założył ręce na klatkę piersiową. W tej samej chwili drugi mężczyzna podszedł do nas i kiwnął głową do mojego rozmówcy. W ustach trzymał papierosa, który jeszcze nie był odpalony. Ubrany był podobnie do wyższego, również w koszulę i zwykle jeansy. Jednak wydawał się nieco młodszy niż czarnowłosy.

– A co to pana obchodzi? Mam jakiś obowiązek odpowiadania na pańskie pytania? – prychnąłem, wkładając dłonie do kieszeni czarnych jeansów i spojrzałem kąpiąco na mężczyznę, ten jedynie przewrócił oczami i sięgnął po coś do tylnej kieszeni spodni. Wyjął z niej złotą odznakę policyjną.

– Komisarz Wilson, wydział śledczy. – powiedział, spoglądając na mnie z westchnieniem i schował odznakę do kieszeni. Spojrzał wymownie na blondyna, a ten szybko schował papieros do kieszeni koszuli.

– Aspirant Jones – odparł krótko i skinął głową w moją stronę.

Odpowiedziałem tym samym.

– Radzę panu uważać. Wczoraj przy tej uliczce doszło do morderstwa. To był prawdopodobnie facet w pana wieku, więc proszę mieć się na baczności. Każdy może być zabójcą – dodał blondyn i z powrotem włożył pa-

pierosa do ust, tym razem od razu odpalając go zapalniczką, którą wyciągnął z przedniej kieszeni spodni.

– Spokojnie, będę uważał – odpowiedziałem krótko i wyminąłem mężczyzn. Stwierdziłem, że zapewne policjanci są tu z powodu wczorajszego zabójstwa, więc dobrym pomysłem było się stąd ulotnić. Nie chciałem, by o coś mnie podejrzewali, bo w końcu to, że się znajdowałem w tym miejscu było naprawdę dziwne.

Ciekawiło mnie, co właśnie dzieje się ze mną. W ciągu zaledwie tego poranka zdarzyło się już tyle dziwnych zbiegów okoliczności, że naprawdę bałem się, co wydarzy się później. Wychodząc z uliczki, usłyszałem krótkie zdanie wypowiedziane przez młodszego „Komisarzu, ten facet wydawał się podejrzany”. Zacząłem iść powoli w stronę kawiarni, w której pracowałem i zastanawiałem się nad słowami mężczyzny. Faktycznie musiało wyglądać to bardzo podejrzanie, że jakiś człowiek przychodzi na miejsce zabójstwa kilka godzin po nim. Sam nie wiedziałem, czemu tam poszedłem. Zaczynałem się bać siebie. Co prawda czasem zdarzało mi się, że robiłem coś jakby wbrew sobie lub nie do końca pamiętałem, co miało miejsce w pewne dni, jednak myślałem, że to z powodu zmęczenia, w końcu nie byłem żadnym psychopata.

Nim zdążyłem się obejrzyć, dzień minął, ku mojemu zaskoczeniu, dość spokojnie. Cały czas zastawiałem się nad sytuacją z rana i nad snem. Nie umiałem znaleźć na to wszystko żadnego logicznego wyjaśnienia, choć bardzo tego pragnąłem. Na przerwie, w pracy przeczytałem chyba wszystkie możliwe artykuły odnośnie nocnego zabójstwa. Póki co nie znaleziono śladów i szukano zabójcy. Ofiarą był właściciel jednej z restauracji znajdującej się tuż obok miejsca zabójstwa. Przyczyną zgonu było podcięcie gardła.

Po powrocie do domu od razu położyłem się do łóżka, mimo wszystko było to bardzo męczące, nie wiedzieć, co się z tobą dzieje, nie umieć zaplanować nad niepewnością. Niedługo potem zasnąłem.

Dwóch mężczyzn, krzyczą i szarpia mnie, w końcu widzę ostry nóż, taki sam jak poprzednio. Po chwili ciemność. Patrzę w dół, obaj mężczyźni leżą, a ich gardła są rozcięte, wypływa z nich krew. Znowu słyszę syreny policyjne, schylam się po coś i uciekam.

Budzę się cały spocony. Jest noc, w pokoju panuje ciemność. Nie widzę nic. Podnoszę się, chcąc złapać głęboki oddech. Dłonią szukam na nocnej szafce telefonu, jednak moje palce spotykają się z czymś zimnym i mokrym. Nie przypominam sobie, bym miał coś takiego na szafce. Przestraszony szybciej poruszam dłonią po drewnianym meblu. W końcu znajduję swój telefon i włączam go. Jest trzecia w nocy. Głośno wzdycham i uruchamiam funkcję latarki. Świecę telefonem w stronę szafki. Po tym, co na niej zobaczyłem, zamarłem. Na szafce znajduje się zakrwawiony nóż, dokładnie taki, jak z mojego snu. To nie może być prawda. Rzucam telefon na łóżko i zaczynam przecierać dłońmi oczy. Przecież to musiało mi się tylko wydawać. To niemożliwe, by ten nóż znajdował się w moim pokoju. Znowu biorę urządzenie w dłoń i spoglądam na mebel. Nóż nadal tam leży. Naprawdę nie wiem, co mam zrobić, więc zrywam się szybko z łóżka i idę do łazienki. To musi być tylko głupi sen. Zapalam światło w łazience i podchodzę do lustra. Dopiero teraz zobaczyłem, że na opuszkach moich palców znajduje się krew, to pewnie dlatego, że dotknąłem noża. Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje, więc odkręcam zimną wodę i nachylam się nad umywalką. Myję dokładne twarz, wręcz lodowatą wodą, cały czas powtarzając sobie, że to nie może być prawda. Przecież nie jestem zabójcą. To tylko efekt zmęczenia. Muszę położyć się spać, a gdy się obudzę, wszystko wróci do normy.

Tak właśnie postanowiłem zrobić. Zakręciłem wodę i wyszedłem z łazienki. Zgasilem w niej światło i ruszyłem z powrotem do swojej sypialni. Na szafce nadal widziałem zarys noża, jednak mówiłem sobie, że to tylko moja głupia wyobraźnia. Wyłączyłem latarkę w telefonie i ułożyłem się na łóżku, tyłem do szafki. Przez dłuższą chwilę nie mogłem zasnąć, cały czas myślałem o snach i nożu. Bałem się, że gdy zasnę, znowu zobaczę coś złego, co będzie wydawało mi się bardzo realistyczne. Byłem jednak zmęczony, więc w końcu udało mi się zasnąć.

Znowu usłyszałem dźwięk budzika. Dzisiejszego poranka rozbudziłem się znacznie szybciej, niż miałem to w zwyczaju. Przetarłem jeszcze zamknięte oczy i po chwili uchyliłem powieki. Spojrzałem na szafkę. Nóż nadal tam był. Nie mogłem w to uwierzyć, do takiego stopnia, że jeszcze kilkakrotnie otwierałem i zamykałem oczy, jednak narzędzie rzekomej zbrodni nadal tam było. Nie chciałem dłużej na nie patrzeć. Moje dłonie

trzęsły się, ale mimo to odsunąłem jedną z szuflad małej szafeczki, mając zamiar schować tam ostrze. Tego, co zobaczyłem, w szufladzie kategorycznie się nie spodziewałem. Leżał tam dokładnie taki sam nóż. Czy to znaczyło, że wczorajsze zabójstwo również było moją sprawką? Nie. To jakaś paranoja. To kategorycznie nie może być prawda. Przecież nie jestem zabójcą. Nie pamiętam, tych zdarzeń. W końcu to jedynie sensne majaki. One nie mogą być prawdziwe. Mimo to, przede mną leżały dwa zakrawione ostrza. Przez myśl przeszło mi, że może to być sprawka Alexa i Harrego. Już nawet miałem iść i z nimi to wyjaśnić, jednak bałem się, że to nie żaden głupi żart z ich strony. Gdybym pokazał im noże, byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do winy. Wiedziałem, że tych dwóch lubi mnie, jednak nie wydawało mi się, że chcieliby mieszkać z zabójcą pod jednym dachem. Na pewno gdzieś by to zgłosili. Musiałem wyjaśnić sytuację sam.

Znowu poczułem okropne uderzenie gorąca, zaczęło mi się również kręcić w głowie. Ułożyłem dłonie na łóżku, nie chcąc opaść. Zacząłem głośno i szybko oddychać, czując jakby nagle w pomieszczeniu zaczynało brakować tlenu. Byłem bardzo przestraszony swoim zachowaniem.

Po chwili czułem, jakbym zasypiał. Jednocześnie miałem dziwne uczucie wstawania z łóżka. Czułem się tak, jakby znowu ktoś inny kierował moim ciałem. Chciałem jakoś odzyskać panowanie nad sobą, jednak nie udało mi się to. Widziałem tylko ciemność i pustkę.

Nie wiem, ile czasu minęło, ale w końcu ocknąłem się. Przez chwilę nic nie widziałem, moje oczy jakby przyzwyczajały się do światła. Niedługo po tym byłem już w stanie rozejrzeć się wokół.

Byłem w jakimś zaułku. Przede mną stał chłopak, wydawał się być młodszy ode mnie, w wieku nastoletnim. Po jego policzkach spływały łzy, patrzył na mnie przerażony, błagał, bym go zostawił w spokoju. Nie wiedziałem, co ma na myśli, jednak po chwili zorientowałem się, że w dłoni trzymam znane mi już ostrze. Odrzuciłem je szybko na ziemię i złapałem się za głowę. Chłopak z głośnym płaczem uciekł, a ja nie wiedziałem, co mam zrobić. Czemu to wszystko musiało mnie spotkać?

Po chwili stwierdziłem, że muszę stąd jak najszybciej uciec, w końcu napadłem na kogoś z nożem. Pewnie ten nastolatek zaraz to gdzieś zgłosi, o ile jakiś przechodzień już tego nie zrobił. Nie mogłem przecież iść do więzienia. Moją przyszłością miało być skończenie studiów i kariera

dziennikarza, a nie spędzenie reszty życia w za kratkami, za zabójstwa, których nawet nie pamiętam. Z drugiej strony nie chciałem zabijać ludzi. Nie byłem potworem.

Gdy już miałem szybkim krokiem odejść, usłyszałem za sobą męski głos.

– Od momentu, kiedy cię pierwszy raz spotkałem, wiedziałem, że jesteś cholernie podejrzany – powiedział mężczyzna. Zdawało mi się, że skądś kojarzyłem ten głos. Szybko odwróciłem się do tyłu i zobaczyłem blondyna oraz czarnowłosego. To byli dokładnie ci sami policjanci, których spotkałem wczoraj. Tyle, że dziś obaj celowali do mnie, ze swoich pistoletów i wyglądali na wyjątkowo zadowolonych.

– To nie tak, jak myślicie. To nie moja wina. Nie wiem, jak się tu dostałem. To nie ja – próbowałem się bronić. W końcu mówiłem prawdę. To wszystko musiało być jakimś spiskiem przeciwko mnie.

– Używasz tego samego noża, co zabójca z wczoraj i dzisiaj – zauważył trafnie blondyn i głową wskazał na ostrze leżące obok mnie.

– To nie mógł być przypadek, że cię wczoraj tam znaleźliśmy. Chciałeś się nacieszyć widokiem krwi swojej ofiary, psycholu? – tym razem odezwał się komisarz i przeładował magazynek, a ja zacząłem bać się jeszcze bardziej.

– Bierz go Jones. Niech odpowie za to, co zrobił – to były ostatnie słowa, jakie słyszałem. Nie wiedziałem, co się działo później. Jednak wiedziałem jedno. To nie byłem ja.



wyróżnienie (proza)

Katarzyna Ziółkowska
(godło: Tawana)
II Liceum Ogólnokształcące
im. Stefana Żeromskiego
w Tomaszowie Mazowieckim

Żeby tylko zdążyć...

Ten artykuł miał nie tylko być moim debiutem dziennikarskim. Chciałam, aby wzbudził zainteresowanie w całym kraju. Nie sądziłam, że wszystko okaże się aż tak trudne. Mój pomysł udał się tylko dzięki ludziom, którzy odważyli się powiedzieć głośno o problemie dotyczącym ich rodzin. Z całego kraju napłynęły do mnie listy. Trzy były naprawdę wyjątkowe. Nie były samym opisem trudnej sytuacji. Po przeczytaniu dwóch z nich przez tydzień nie mogłam funkcjonować bez ciągłego myślenia o ich wartości. Towarzyszyły mi ciągle.

Przy śniadaniu, obiedzie, pod prysznicem, podczas kupowania bułek w sklepie czy nawet przy zasypianiu.

Jeszcze raz sięgnęłam do otwartej pierwszej koperty. Moje ciało drżało, a łzy same napływały do oczu. Wyjęłam lekko pogiętą kartkę, prawdopodobnie wyrwaną z pamiętnika.

„12 grudnia

Znowu. Wszystko dzieje się znowu. Mogłam nie wracać do szkoły po chorobie. Czemu ona mnie nie wykończyła? Mogłaby zostać na zawsze. Nie musiałam wychodzić z domu, nikt nie śmiał się ze mnie na ulicy, w szkole, w sklepie. Nikt nie obrzucał mnie wyzwiskami tylko ze względu na mój kolor skóry. Dlaczego ten świat jest aż tak okropny? Nie ma dnia, w którym nikt nie patrzy na mnie jak na zwierzątko w zoo. Nie ma godziny, gdy nie widzę ohydnych komentarzy na mój temat. Nie ma dnia, w którym nie płaczę. Nie ma dnia, w którym nie myślę o śmierci. Nie widzę swojej przyszłości. Na pewno nie ma jej w miejscu, w którym jestem teraz. Muszę się pożegnać z tym światem. Nie chcę nikogo obwiniać o to,

co się stanie. Rozumiem, że jestem inna. Zrozumiałam to już, gdy jako jedyna dziewczyna w klasie na Dzień Kobiet dostałam białą czekoladę. Powiedziano mi, że to dla kontrastu. Mam nadzieję, że chociaż na pogrzebie będą ubrani na czarno i nie zrobią sobie żartów. Wszystko zaplanowałam równo tydzień przed moimi czternastymi urodzinami.”

Westchnęłam głęboko. Wzięłam łyk kawy, która zdążyła wystygnąć. Nie pamiętałam, który raz już przeglądałam te koperty. Chwyciłam kolejną. Wyjęłam z niej pięknie udekorowany w zielone ornamenty list. Charakter pisma był bardzo ozdobny i wypracowany. Odetchnęłam i zaczęłam śledzić tekst wzrokiem:

„Mamo, jeśli to czytasz, to bardzo Cię przepraszam, ale wiesz, że gdybym tego nie zrobił, nie byłoby Ci wcale lepiej... Teraz już nie musisz kłócić się z tatą. Dominika też będzie miała spokojny dom. Ojciec już nie będzie mieć powodu do wstydu. W końcu syn gej. A nie, jak gej to już nie syn przecież. Nie zamierzam go obwiniać i Ty też tego nie rób. Po prostu żyjcie tak, jakby mnie nigdy nie było. Pamiętasz jak mówiłem Ci, że też się podobam Wiktorowi? To było zwykłe kłamstwo. Gdy tylko powiedziałem Oliwce, że jestem homoseksualny i spytałem czy Wiktor jest zajęty, zniszczyłem sobie życie w szkole. Niczego nie podejrzewałem, gdy kilka dni po tej rozmowie Wiktor zaprosił mnie na piwo i wyznał, że już od dawna jest we mnie zakochany. Po dwóch dniach trzymania się za ręce wszystko okazało się żartem. Bardzo śmiesznym, ale oczywiście nie dla mnie.

Cała szkoła dowiedziała się, że wołę chłopców i byłem obiektem kpin. Kilka razy pobito mnie w toalecie, zresztą pamiętasz, jak wracałem pokrwawiony do domu. W internecie poznałem Krzyska, urodził się jako dziewczyna, ale woli być Krzysiem. Miałem z nim świetny kontakt, rozmawialiśmy przez telefon nocami o błahostkach i śmialiśmy się z głupstw. Uratował mi kilka razy życie. Już miałem dwie próby samobójcze. Oba listy są w drugiej szufladzie od dołu przy moim łóżku. Ale za każdym razem, gdy już stałem na moście czy przy torach, to dzwonił do mnie Krzysiek. Mówił wtedy, że boi się, bo jest sam w domu lub że nie wie, jak ugotować makaron, żeby nie był ani za twardy ani za miękki. Wiedziałem, że chodzi mu o to, żebym nic sobie nie zrobił. Zwykle planując moje działanie, pisałem do niego. Tym razem nie biorę telefonu. Jemu też będzie lepiej bez ciągłego martwienia się o mnie. Mimo wszystko kocham Cię bardzo,

Mamusiu. Wiem, że bałaś się zwrócić uwagę ojcu, sprzeciwić się, gdy mnie obrażał i wypierał się mojej osoby, więc obiecuję Ci, że gdy czytasz ten list, to bądź tylko lepiej.

Dbaj o Dominikę, jej też będzie na początku trudno się przyzwyczaić. Zawsze będę Was kochać”

Wstałam. Otworzyłam okno, bo potrzebowałam świeżego chłodnego powietrza. Przede mną na stole leżała ostatnia najbardziej niechlujna koperta. Spędziła ze mną najwięcej czasu i wylałam przez nią najwięcej łez. W końcu po nią sięgnęłam.

„Dzień dobry Pani Emilio, niestety nie potrafię pisać listów, muszę przyznać, że opuszczałam lekcje polskiego. Jestem bardzo szczęśliwa, że podjęła się Pani napisania artykułu, w którym porusza Pani tak poważne problemy. Postanowiłam dorzucić coś od siebie. Nazywam się Weronika, od jedenastego roku życia moją pasją jest taniec. Tańczyłam codziennie, czułam, że jestem w tym świetna. Gdy skończyłam piętnaście lat, postanowiłam założyć konto na Instagramie, na którym publikowałam nagrania moich tanecznych wyczynów. W kopercie oprócz tego listu jest karteczka z nazwą mojego profilu oraz numer telefonu, jeśli potrzebowałyby Pani jakiegokolwiek pomocy przy artykule. Pod moimi filmikami oprócz miłych słów znajomych dostawałam wiele przykrych komentarzy na temat mojego wyglądu. W tamtym czasie przy wzroście metr siedemdziesiąt dwa ważyłam osiemdziesiąt trzy kilogramy. Nie ukrywam, że nie była to idealna waga dla nastolatki, ale akceptowałam siebie i czułam się dobrze. Z każdym filmikiem dostawałam coraz więcej negatywnych komentarzy już nie tylko w Internecie, ale i w środowisku szkolnym. Mając szesnaście lat, przestałam akceptować swoje ciało. Czułam się brzydka. Taniec przestał sprawiać mi przyjemność. Skupiłam się tylko na swojej wadze. Ćwiczyłam dwa razy więcej, a jadłam dwa razy mniej. Ustalałam sobie limity kaloryczne. Z początku wyglądało to jak normalna dieta, a potem zaczęły się kilkudniowe głodówki i wymuszanie wymiotów. Najgorsze jest to, że sprawiało mi to radość. Uczucie głodu było dla mnie oznaką postępu. Cieszyłam się z każdego zrzuconego kilograma. Gdy moje nogi podczas głodówek same się uginały, wmawiałam sobie, że to dlatego, że jestem otyła i nie mogą unieść tego ciężaru. Wszystko straciło barwy. Teraz, gdy skończyłam osiemnaście lat, ważę czterdzieści dwa kilogramy. Już

nie tańczę, bo to dla mnie za duży wysiłek. Nie potrafię jeść, wszędzie widzę tylko liczby. Gdy udaje mi się wstać z łóżka i spojrzeć w lustro, to chociaż widzę kości, czuję się jeszcze za mało perfekcyjna. Wszyscy wokół powtarzają mi, że jestem za szczupła, a ja ich ignoruję. Nie potrafię siebie zrozumieć, choć bardzo mocno chcę. W dzisiejszym świecie ludzie niszczą ludzi. Chcą, żeby ludzie niszczyli samych siebie. Czuję, że już nie ma dla mnie ratunku, ale jestem Pani ogromnie wdzięczna. Chciałabym znowu ważyć osiemdziesiąt trzy kilo i przeżyć swoje życie jeszcze raz, tylko rozważniej... Życzę Pani ogromnego sukcesu!”

Gdy pierwszy raz przeczytałam ten list, postanowiłam zadzwonić do Weroniki. Nie odebrała. Dzwoniłam kilkakrotnie w ciągu dwóch dni. W końcu zdecydowałam się wejść na jej profil na Instagramie. Obejrzałam wszystkie filmiki. Faktycznie z każdym nowszym wyglądała szczuplej. Ostatni był sprzed roku. Zadzwoniłam do niej kolejny raz. Nie udało się zrealizować połączenia. Na jej profilu znalazłam miłe komentarze, prawdopodobnie były to te, o których wspomniała w liście. Skontaktowałam się z autorami wpisów. Jedna z dziewczyn okazała się bliską koleżanką Weroniki, która akurat była na wakacjach we Włoszech.

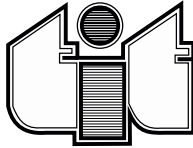
Po długich prośbach i rozmowie telefonicznej podała mi jej adres. Wiem, że to, co zrobiłam było bardzo nieprofesjonalne, ale czułam, że muszę koniecznie porozmawiać z Weroniką i dać jej moje wsparcie. Następnego dnia przejechałam ponad sto kilometrów do jej domu.

Gdy zadzwoniłam do drzwi, otworzyła mi kobieta ubrana na czarno. Kiedy spytałam o Weronikę, tylko cicho zapłakała. Po chwili wyjaśniła mi, że właśnie szykują się na jej pogrzeb. Nogi ugięły się pode mną. Złożyłam kondolencje i wróciłam do samochodu. Przeplakałam w nim dwie godziny. Od tamtego zdarzenia minęły trzy miesiące. Mój artykuł zdobył niebywałą popularność. Zorganizowałam zbiórkę pieniężną na założenie fundacji na rzecz pomocy nastolatkom, którzy w oczach środowiska są napiętnowani. Fundacja zaczęła funkcjonować, wzbudziła duże zainteresowanie. Wraz z moimi współpracownikami udało nam się uratować już dwudziestu trzech młodych ludzi, a liczę, że będzie ich więcej. Wiem, że nie zbawię całego świata, ale chociaż mogę wniesić do niego odrobinę nadziei. Pamiętam przecież siebie...

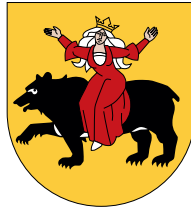
Patronat Honorowy



Patronat Medialny



Patronat



Organizacja Narodów
Zjednoczonych
dla Wychowania,
Nauki i Kultury

Szkoła należy do sieci



Szkoł
Stowarzyszonych
UNESCO



